

10	11	12	13	14	
25	26	27	28	29	30
40	41	42	43	44	
54	55	56	57		
67	68	69	70		
80	81	82	83	84	
94	95	96	97		
107	108	109	110	111	
121	122	123	124	125	126
136	137	138	139	140	
150	151	152	153	154	155
165	166	167	168	169	

## Stachura w Lublinie

str. 3

## Życie po śmierci

str. 5

## Kobieta 50-letnia

str. 8

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933

PL ISSN 0137-7100 Nr 1046840 34211

# Kamena

NR 24 (870)

30 listopada 1986

Cena 15 zł

## Z WĘGLEM (nieco) JAŚNIEJ

Wiesław Horabik

**K**IEDY przed laty przebijała się do ludzkiej świadomości wieść o bogactwie, jakie kryje lubelska ziemia, województwo ogarnęła, jak wiadomo, euforia. Przasne, podlubelskie wioski z drzeniem w sercu szykowały się do pochwylenia szansy, a region, uchodzący w opinii większości kraju, od wielu dziesiątków lat za Polskę B, dostał nagle swoją nadzieję. Czy z tamtych marzeń mają pozostać jedynie świetne reportaże i garść poselskich interpelacji? Czy śląskie gwarki i łęczyńscy chłopcy zdążą utworzyć nowy jakościowo zakątek polskiej etnografii? Czy naprawdę zmieni się oblicze i znaczenie Lubelszczyzny na gospodarczej mapie Polski?

Dla nikogo nie jest już tajemnicą, że Zagłębie spóźniło się o pięć lat. Swego czasu, w okresie inwestycyjnego boomu, mimo późniejszych, nieprzewidywanych trudności, istniała jeszcze realna szansa szybkiego, kompleksowego zagospodarowania lubelskiego węgla. Tymczasem z pięciu planowanych wówczas kopalń, dziś stoi jedna cała i trzecia część drugiej. Był czas, że roboty ciągnięto jakby z obowiązku. Dlatego prawdy o lubelskim węglu wygodniej szukać w teraźniejszości, w zjawiskach i działaniach, które trwają. Nie oznacza to, rzecz jasna, że nie widać przyszłości. Dotarła już wiadomość o decyzjach rządu (zakończenie budo-

Dokończenie na str. 4



Rys. W. Gusiaw

## Srebrne gody z Filharmonią

### ROZMOWA Z ADAMEM NATANKIEM

— Tytu już pan udzielił wywiadów, że nie wiem, od czego zacząć.

— Najlepiej od początku.

— No tak, ale gdzie ten początek?

— Tutaj oczywiście, w Lublinie, w 1960 roku, kiedy to otrzymałem propozycję gościnnego występu w Filharmonii Lubelskiej. Byłem świeżo po dyplomie i nie wiedziałem nawet, że jest to nieoficjalny konkurs. Po powrocie do Krakowa otrzymałem list z propozycją pracy od stycznia 1961 roku. Długo się nie zastanawiałem. Była to dla mnie jakaś szansa, tym bardziej, że jedynym miejscem, w którym mógłbym wykonywać swój zawód, jest filharmonia. Nie wyobrażam sobie, na przykład, dyrygowania kilkanaście razy tą samą operą. Pojechałem więc do Lublina zamieszkałem w pokoiku mającym

sześć metrów kwadratowych i zostałem asystentem dyrygenta, pianując swój pobyt tutaj na dwa lata.

— Kiedy pasowano pana na dyrygenta Filharmonii Lubelskiej?

— Już po roku.

— A na dyrektora?

— Po odejściu dyrektora Cwojdziańskiego w 1964 roku zaproponowano mi to stanowisko, ale go nie przyjąłem.

— Bał się pan zbyt dużej odpowiedzialności?

— Dyrygent i dyrektor w jednej osobie to taka funkcja, która wymaga nie tylko kompetencji, ale i dojrzałości. A każdy młody człowiek bezpośrednio po studiach ma jedynie dwa wymiary oceny: albo fascynacja, albo negacja. Dlatego później, w miarę zdobywania doświadczeń, waży

się pewne rzeczy. Oczywiście, już samo stanowisko dyrygenta jest jednocześnie funkcją kierowniczą i to nie tylko od godz. 9 do 13, w czasie prób, ale jest się w ogóle szefem organizacji pracy artystycznej, odpowiedzialnym za kształt koncertu, jak również psychiczny komfort ludzi, z którymi przychodzi pracować. Tak się szczęśliwie złożyło, że skończyłem Wydział Pedagogiczny, a potem dopiero dyrygenturę. Przez całą studia pracowałem poza tym w szkolnictwie muzycznym w Krakowie. Między innymi z panią Michnik, tą, która jest obecnie dyrektorem krakowskiej opery, uczyłem solfeżu i zasad muzyki. Jacek Kasprzyk też, można powiedzieć, jest moim wychowankiem, już z lubelskiego okresu.

Dokończenie na str. 10—11



# z notatnika

15 XI. W „Tygodniku Powszechnym” (nr 46) aż dwie strony zajęła relacja ze spotkania Krzysztofa Zanussiego ze słuchaczami, które odbyło się w pomieszczeniach krakowskiego klasztoru oo. Dominikanów. Rozśmieszyło mnie, gdy reżyser skarżył się, iż na jego film pt. „Rok spokojnego słońca” zorganizowano w kraju nagonkę prasową. Panie Zanussi! mniej samouielbienia! Największemu nawet twórcy nie wszystko się udaje. A rozmieszyło mnie już do głębi takie sformułowanie mistrza: „Nie chcę zadawać demagogicznych pytań, ale ciekaw jestem, ilu z Państwa wie, co myśli i jak żyje żona milicjanta, która mieszka gdzieś w jakimś sąsiednim bloku. Jesteśmy społeczeństwem doskonale podzielonym i ci, co przyszedli tu do kościoła, na ogół nie widzieli nigdy żony milicjanta z bliska, nie mają pojęcia, jak ona myśli, a przecież to też jest członek tego społeczeństwa w konflikcie, w jakim jesteśmy...” Chciałbym zapytać, czy ten jakiś „sąsiedni blok” wybudowano na Marsie? Czy żona milicjanta fruwa nad tamtejszymi kanałami? Czy żadna żona milicjanta nie odwiedza kościoła? Wszystkie są ateistkami? Osobiście znam żony oficerów milicji, które wcale się z tym nie kryją, bo nie muszą, że są wierzące. Pytanie Zanussiego nie było więc demagogiczne, ale po prostu niemądre.

Dopisuję 23 listopada: W „Przeglądzie Katolickim” (nr 47) znalazłem taką informację: „Pod hasłem »Księżdz Jerzemu w hołdzie« w dniach 17-19 października odbyły się w Lubaczowie, w parafii prokatedralnej, Dni Kultury Chrześcijańskiej. Na program złożyły się referaty (m.in. »Prasa katolicka wczoraj i dziś« — Leszek Gzella, »Matka Boża w literaturze« — Zbigniew Strzałkowski)».

Nazwiska wydają się dziwnie w Lublinie znajome...

17 XI. Agencja Koncertowa Ośrodka Sztuki Estradowej w Lublinie poczyniła sobie coraz śmielej. Sprowadziła ze stolicy i pokazała na swej scenie spektakl Kofy i Kozłowskiego pt. „Przebieganka — przewalanka II”. Nazwiska aktorów: Małgorzata Niemirska, Adam Ferency, Henryk Talar i Marek Walczewski (że panów wymienię w porządku alfabetycznym) już same w sobie stanowiły dobrą reklamę spektaklu. Wśród gości niemal cała ekipa partyjno-administracyjna Lublina i województwa. Wojewodę zastąpił wicewojewoda, którego też bawiła rozmówka chłopów: Zajęca z Wilkiem. Rechotali wszyscy, tylko biedny Kofka, nie znający nazwiska tutejszego włodarza, dziwił się, że ten tekst tak wszystkim do łez rozśmieszył... A gdyby dawny sekretarz PWRN nie był już na emeryturze, byłoby jeszcze bardziej wesoło!

W sumie zabawa przednia, a tzw. polityczne służyki (?) utrzymane na odpowiednim poziomie. Pochwalić trzeba wszystkich: autorów, wykonawców jak i szefostwo Agencji, Kofkę, trzymaj się i nie daj się tym, co krąży!

20 XI. Hotel „Jubilat” w Zamościu od 1 października znów podniósł ceny opłat. Za nocleg w pokoju jednoosobowym trzeba już płacić 1300 zł (o 400

zł więcej niż poprzednio?), ale żeby w obiekcie cokolwiek się poprawiło, nie zauważyłem. W łazience-ubikacji brak nawet (choć przypadek) papieru toaletowego, w pokoju nie wszystkie światła się świecą, a z domknięciem okien też bywa różnie. Słownem rosną ceny, ale nie standard usług. Człowiek zamawia budzenie na określona godzinę, telefon dzwoni i piętnastominutowym opóźnieniem. Niby drobiazg, ale z drobiazgów przecież składa się nasza egzystencja.

Poprawiła się jednak (bądźmy sprawiedliwi!) kuchnia i ceny też są tu znośne. Nie trzeba już ganiać do „Młyna”, aby zjeść coś smacznego.

W salce telewizyjnej oglądałem mecz piłki nożnej Holandia — Polska. Jakiś podparty kibic absorbował uwagę wszystkich obecnych komentując poszczególne fragmenty gry. Słuchaliśmy więc drugiego komentarza. Aparat telewizyjny usiłowało bezskutecznie ustawić: raz było za głośno, a raz za cicho, kolor też daleko odbiegał od idealu. Trudno sprowadzić fachowca, by odpowiednio wszystko podregulował?

Odnoszę wrażenie, że w hotelu brak gospodarza. Na podniesienie cen ktoś się jednak zdecydował. Najłatwiej to uczynić, prawda?

A sam mecz? Nie pięję z zachwytem. Uważam, że padający nieustannie deszcz był naszym sprzymierzeńcem, bo Holendrzy nie mogli rozwinąć skrzydeł. Mieliśmy też dużo szczęścia. Obrona może uratowała remis, ale ataku już nie zastąpi. Dużo jeszcze pracy czeka trenera Łazarka. Życzę mu, oczywiście, jak najlepiej, zwłaszcza, że z młodych może mieć w przyszłości pociechę.

21 XI. Ale się wytlukłem po województwie zamojskim! Wymieniam w kolejności: Zakrzew, Dębina, Żółkiewka, Przewodów, Hulecze, Dolhobyców, Gołębie, Tarnogród, Różaniec (każdy ma swój... różaniec) i wreszcie Zamość. Okazją do spotkań z młodzieżą szkolną stała się Dekada Książki Społeczno-Politycznej. Nic nie mam przeciwko majowym Dniom Oświaty (etc.), przeciwko listopadowej Dekadzie Książki (etc.), ale przeraża mnie ta nasza ciągła akcyjność! Mijają miesiące, a nikt nie zadzwoni do redakcji i nie zaproponuje żadnego spotkania, a w czasie Dni (etc.), Dekady (etc.) telefony urywają się i trzeba grzecznie odmawiać, bo człowiek nie może być jednocześnie w kilku miejscach. Pracownicy TWP i innych organizacji zajmujących się akcją odczytowo-spotkaniową dostają nagłych obrotów, jakby właśnie ich działalność w tych okresach liczyła się najbardziej w całorocznej ocenie. Męczą się oni, męczą się zapraszani goście i zapewne sami słuchacze, ale w sprawozdaniach będzie zapewne wszystko grało...

Napisałem to, ale przecież osobiście jestem z tych moich spotkań zadowolony. Poznałem wspaniałych pedagogów, którzy często na zapadłych wsiach uczą po 20, 30 i więcej (!) lat, którzy, bez żadnej przesady, całe dotychczasowe życie poświęcili na wzbijanie do młodych głów podstaw wiedzy. Działają w różnych warunkach i lokalowych i materialnych (taka np. szkoła w Huleczu trzeszczy w szwach,

a w niedalekich Gołębiach wzniesiono budynek, godny zazdrości), borykają się z brakiem lektur i podręczników, ale tkwią na posterunku pracy i w wielu wypadkach dotrą tak do zasłużonej emerytury...

A sama młodzież? Różna, ale chyba najmilsze spotkania miałem właśnie w tych szkołach oddalonych od stolicy województwa, gdzie rzadko kto zagląda, gdzie nauczyciele nie zostawiają prelegenta samego z uczniami, ale sami zasiadają na sali, słuchają, a potem nawet zadają liczne pytania. Z przyjemnością odnajdywałem i wiernych czytelników „Kamena” i wiernych odbiorców mojej skromnej twórczości. Miło będę wspominać szkoły podstawowe w Tarnogrodzie, Żółkiewce i Przewodowie, nieco mniej — pewne liceum w Zamościu, a zwłaszcza jedną z uczennic, która na końcu sali po prostu mi przeszkadzała swą ciągłą paplaniną. Szepsem co prawda, ale słuch mi jeszcze nie wysiada. Osmoklasiści zadawali zwykle więcej pytań niż licealiści, co może o czymś świadczyć, ale przecież w takim np. Zespole Szkół Budowlanych w Zamościu miałem przed sobą ponad dwustu słuchaczy, a można było słyszeć brzęczenie muchy! Tam też pytało mnie, kiedy skończymy w „Kamieniu” druk wspomnień o lubelskich latach Edwarda Stachury. Pytano, bo chciało, aby ich druk trwał jak najdłużej, co potwierdziło moje przypuszczenia, iż ten cykl kolegi Dereckiego znajdzie spore grono miłośników.

W sumie więc było fajowo (czy tak jeszcze dzisiaj mawiają młodzi?) Będę rad, jeśli przy okazji „Kamena” zdobędzie nowych czytelników.

22 XI. W „Przeglądzie Tygodniowym” (nr 47) rozmowa z Andrzejem Zaorskim. Dowiadujemy się z niej, że z opowiadania dowcipów można całkiem niezłe utrzymać rodzinę, a jeżdżenie z występami po kraju oznacza... robienie pieniędzy. Z całą pewnością większych niż występowanie w telewizji, a był przecież taki okres, że bardzo często oglądaliśmy Zaorskiego w małym okienku i słuchali w radiu. Teraz zamierza do telewizji powrócić, ale pragnie (wracając) stworzyć taką sytuację, w której jak twierdzi, mógłby „wygłosić przemowę: »Proszę państwa, nie było mnie parę lat, ponieważ...« i tu dowcipnie uzasadnić. »Ale teraz...« i znów dowcipnie kontynuować”.

Czekam z niecierpliwością na to dowcipne uzasadnienie kilkuletniego bojkotu (nie owijam słów w bawełnę) przez wspomnianego aktora, krajowych środków masowego przekazu. Komuniści też przyjmują złąkane owieczki. Też „bo w kruchej taksówce panu W. wybaczone nawet wiersz informujący o tym, dlaczego swoim synowi dał na imię Feliks. A mnie fragmenty tego utworu ciągle kolaczą się po głowie, gdy dzisiaj czytając pewne teksty nawróconego przestępca...”

W nocny złapałem „Głos Ameryki”. Czesław Miłosz odebrał nagrody (na nasze warunki wysokie), które jakieś tam amerykański uniwersytet przyznał Bujakowi i Michnikowi. Z tej okazji obaj panowie przemawiali z taśmy. Utkwiło mi, że Bujak używał sformułowania „w tym kraju”. Do tego też kraju zaprosił Edwarda Kennedy’ego (przemawiającego na wspomnianej uroczystości) wraz z małżonką. Na białym koniku?

23 XI. W piątek w telewizyjnym Monitorze Rządowym — min. Aleks-

sander Krawczuk, w sobotę w Dzienniku TV — min. Krawczuk, w niedzielę w Teledanku — min. Krawczuk. Bardzo szanuję nowego szefa ogólnopolskiej kultury, podoba mi się jego bezpośredniość i szczerłość (choć i z niektórymi poglądami mógłbym polemizować), ale, na miłość Zeusa, nie popadajmy w przesadę! Czy w rządzie jest tylko jeden minister, który daje się szarpać na wszystkie strony? W nie tak zamierzczliwych czasach telewizja stale eksploatowała ministra Zygmunta Krasińskiego i kiedy go zabrakło, wówczas rozszalały się plotki, zwłaszcza u nas, w Lublinie, że nawiał z kraju i to z kilkoma milionami (!) dolarów. Ktoś mądry przeciął te plotki (szkoda, że tak późno): prof. Zdzisław Krasiński, obecnie radca ekonomiczny ambasady PRL w Waszyngtonie, udzielił wywiadu Polskiej Agencji Prasowej na temat ostatniej sesji GATT. Ponadto prof. Krasiński pokazał się na łamach „Trybuny Ludu” mówiąc o „ścisłym związku między ludźmi, którzy produkują, a tymi, którzy ich reprezentują na szczeblu lokalnym czy stanowym”. Na marginesie tej wypowiedzi Hieronim Orzeszek napisał złośliwie („Sprawy i Ludzie”, nr 47): „Zajadając tam — w USA — swoje chrupiące bułeczki nasz były komisarz do spraw cen może sobie chrzanić, ile chce, redaktor Zygmunt Broniarek może to, oczywiście, bezmyślnie powtarzać, ale — na miłość boską (Zeusa?) — zapytam — M. A. Jaworski — czy redaktorzy „Trybuny” mają obowiązek to drukować?” Sądzę, że mają, bo w danym wypadku nawet największe chrzanienie byłego ministra posiada swój sens. A swoją drogą, kto tu jeszcze mówi, że polska prasa jest bezbarwna?

Ja też pozwolę sobie skrytykować min. Krawczuka. Nie wypada, by minister kultury i sztuki na konferencji prasowej dla dziennikarzy mówił, że (cytuje z pamięci): „Filmy nie są bardzo frekwentowane przez publiczność”. Czy to gwara krakowska?

I ja, podobnie jak nowy minister, jestem za otwartością kultury, ale ponieważ żyjemy w określonym czasie i w określonym miejscu przychyliłbym się bardziej do poglądu wyrażonego kiedyś przez Jerzego Putramenta, który twierdził, że w polityce kulturalnej powinny obowiązywać obok siebie zasady: preferencji, tolerancji i ingerencji. Zdaniem Putramenta te zasady trzeba stosować niezwykle rozważnie, należy podchodzić do ingerencji. I dlatego wprowadzić rządzie niektóre fragmenty książki pt. „Nowy Świat i okolice” Tadeusza Konwickiego (nie musimy zresztą myśleć jednakowo) i jego przekomentarzy z cenzorem (bardziej ośmiuszające samego autora), niemniej lektura tej książki nikogo nie zachęci, zarówno do budowania mostów, jak i do budowania barykad, więc nie się z tego nie stało, że znalazła się ona na półkach księgarskich. Nie byłbym jednak za wyświetlaniem w państwowych kinach tego filmu amerykańskiego, o którym wspominał minister. Oglądałem obie części w video i nie wysiedziałem do końca. Piramidalna bzdura, ale wielu młodych może ją potraktować bardziej poważnie... A więc nie tylko preferencja, nie tylko (mądra!) ingerencja, ale i tolerancja pewne granice powinna posiadać!

M. A. Jaworski

## KRONIKA KULTURALNA

1 listopada w Bilgoraju otwarto odrestaurowany z funduszu miejskiego cmentarz żydowski, założony w pierwszej połowie wieku XVII. Na cmentarzu odsłonięto pomnik poświęcony pamięci 4 tysięcy Żydów bilgorajskich zamordowanych przez hitlerowców. Fundatorem pomnika jest Artur Lumerman, obywatel USA, przed wojną zamieszkały w Bilgoraju.

10 listopada rozstrzygnięto w Zamościu plebiscyt publiczności XI Zamojskiego Lata Teatralnego. „Hetmańską buławę” zdobył Teatr Polski z Warszawy za inscenizację „Żywota Jó-

zefa” Mikołaja Reja, w reżyserii Kazimierza Dejmka.

Od 22 do 27 listopada trwała w Międzyrzeczu Podlaskim i Międzyrzeczku Jesień Teatralna. Z ciekawą ofertą artystyczną wystąpił na tej imprezie warszawski Teatr na Targówku, prezentując wybrane spektakle z ostatniego sezonu, które w stolicy cieszyły się dużą popularnością i zainteresowaniem. Publiczność międzyrzecka mogła oglądać m.in. „Lotrzyce”, „Agnieszki Osieckiej”, „Samy ze wszystkimi” Gelmana, „Jan Maciej Karol Wścieklica” Witkacego w reż. A.M. Marzewskiego, monodram Małgorzaty Prażmowskiej oparty na „Dziennikach” Zofii Nałkowskiej.

Dyrektor Lubelskiej Filharmonii Adam Natanek prowadził w listopadzie próby w Halmstad w Szwecji. 16 i 17 listopada odbyły się tam koncerty pod batutą Adama Natanę, w których programie znalazły się kompozycje W. A. Mozarta, J. Haydna, H.M. Góreckiego.

Posiadający dobrą renomę w kraju Teatr Ziemi Chełmskiej przygotował kolejną premierę. Jest to jednoaktówka Antoniego Czechowa „Niedźwiędź”. Przedstawienie reżyserował kierownik i reżyser zespołu, związany z tym teatrem od wielu lat, Czesław Dopierański. Chełmski teatr zaprezentował to przedstawienie w Stalowej Woli w ramach Ogólnopolskiego Przeglądu Teatrów Robotniczych.

Istniejąca od 16 lat Scena Plastyczna Teatru Akademickiego KUL zaprezentowała swoje kolejne przedstawienie, przygotowane, jak zawsze w tym teatrze, według koncepcji Leszka Mądziaka. Nowe widowisko form plastyczno-teatralnych nosi tytuł „Pętanie”. Jego premierę w Lublinie zaplanowano na koniec listopada, zaś 9 grudnia spektakl będzie prezentowany w Galerii Teatru „Studio” w Warszawie.

Film „Cudzoziemka” według powieści Marii Kuncewiczowej, wyreżyserowany przez Ryszarda Bera, otrzymał główną nagrodę na tegorocznym

festiwalu filmowym w Gdańsku. Szczególnie wyróżniono kreację Ewy Wiśniewskiej jako Róży. Postać Róży z napisanej jeszcze przed wojną powieści jest ponoć ulubioną bohaterką Marii Kuncewiczowej. Spotkanie z filmową wersją tej postaci mogła pisarka przeżyć podczas premiery tego filmu w Kazimierzu, która odbyła się 19 listopada.

Od 15 do 30 listopada trwają w Warszawie 4 Międzynarodowe Spotkania Teatralne, w których uczestniczą teatry z siedmiu krajów europejskich. Pośród imprez towarzyszących temu wydarzeniu, obok filmów, wystaw, spotkań znalazła się również prezentacja spektaklu Stowarzyszenia Teatralnego „Gardzienice” — „Żywoć protopopu Awwakuma”.

W Muzeum Okręgowym w Białej Podlaskiej czynna jest wystawa prezentująca postać architekta, malarza i regionalisty związanego z Podlasiem, Aleksandra Próchnickiego.

# Lubelskie lata Edwarda Stachury (3)

Mirosław Derecki

**B**YL chyba koniec września 1959 r. Miałem kłopoty z mieszkaniem, bo studenckie domy przy ul. Langiewicza zamknięto naглуcho przed rozpoczęciem nowego roku akademickiego; do rodzinnego miasta wyjechać mi się z Lublina, gdzie już od półtora roku współpracowałem z „Kamienią” nie chciało. Jedyną ostoją dla osób w podobnej, jak moja sytuacja był wtedy Dom Wycieczkowy PITK, mieszczący się w zabytkowym pałacyku przy placu Litewskim, gdzie ma teraz swoją siedzibę Lubelskie Towarzystwo Naukowe. Można tam było się przespaciać za kilkanaście złotych na ogólnej sali, we względnie spokojnym.

W „Peteteku” panowała swoista, rodzinna atmosfera. Mieszkała tam zawsze — poza masowymi, przelätującymi jak meteory szkolnymi lub chłopskimi wycieczkami — pewna grupa „rezydentów”, ludzi, którzy byli w Lublinie na dłuższych „delegacjach”, studentów przygotowujących się do wstępnych lub do poprawkowych egzaminów, gdy akademicy byli w remoncie; takich — których żona lub mąż wyrzucił z domu, lub takich — którzy domu w ogóle nie mieli. Do tych ostatnich należał pewien starszy księgowy na emeryturze oraz potwornie gruba, stara kobieta, uciekinierka ze szpitala psychiatrycznego, gdzie — jak twierdziła — umieściła ją rodzina lasa na jej majątek. Utrzymywała się z wróżenia (z dłoni i z kart) uczestnikom zbiorowych wycieczek. Pamiętam też panią w średnim wieku z syntkiem, wyglądającą na prowincjonalną nauczycielkę. Nie wiem, gdzie pracowała, ale „dorabiała” prostytucją na salach ogólnych, operując głównie wśród młodych przybyszów ze wsi. Takse miała przystępną, więc i popyt był duży.

Wieczorami, gdy uczestnicy wycieczek, zmęczeni bieganiną po zabytkach, ułożyli się do snu, „rezydenci” zbierali się w górnym hallu pałacyku (na pierwszym piętrze nad schodami) przy stolikach na towarzyską pogawędkę. Telewizja była dopiero w powojakach, nikt nie słyszał o odbiorniku telewizyjnym w hotelu, więc życie towarzyskie naprawdę kwitło.

W takim właśnie entourage'u pewnego późnego wrześniowego wieczoru natknąłem się na Steda. Akurat wrócił z jakiejś „rajzy” po Polsce; był w podobnej sytuacji, co ja, bo znacząco bez pieniędzy i mieszkania.

Gwarzyliśmy sobie przy stoliku o tym i owym, a najmniej o pisaniu, gdy przysiadł się do nas chłopak, który koniecznie chciał zagrać w karty. „Ja grywam tylko na pieniądze — powiedział rzeczowo Sted. — W pokera” — dodał, żeby już zupełnie nie było wątpliwości. To chłopaka wcale nie spęszyło. Forę miał, bo przyjechał do Lublina na kilka dni zdawać egzaminy poprawkowe, a w dodatku ojciec, niebiedny rolnik, dał mu jeszcze tysiąc trzysta złotych na kupno jesionki...

Nigdy nie miałem pojęcia o kartach, a zwłaszcza o grze w pokera, ale już w momencie, kiedy Sted zaczął tasować i rozdawać, rozumiałem, że raz przed sobą nie byle kogoś! Karty po prostu furczały mu w rękach.

W ciągu dosłownie kilku chwil Sted stał się zupełnie innym człowiekiem: gdzieś zniknęła jego nieśmiałość, „zamyślenie”, jego „lagodność”. Patrzyłem ze zdumieniem, jak po paru rozdaniach, gdy już zostały podwyższone stawki i gdy jego partner wygrał parę złotych (może — nie był to przypadek, może — miał je wygrać na „zachęte”?) Stedowi, z minuty na minutę, tęczała twarz, a jego błękitne, marzycielskie oczy robiły się stalowoszare, zimne. „S-syp, s-syp, syp forę na stół!” — powtarzał bezwzględnie głosem, kiedy przegrujący teraz raz za razem przeciwnik wahał się z wyciągnięciem z kieszeni kolejnych banknotów...

Nigdy już więcej Steda takiego nie widziałem. Około trzeciej nad ranem było po wszystkim. Sted, chowając do kieszeni jeansowej bluzy spony zwitek banknotów, odłączył z niego czerwoną słówkę i honorowo wręczył ją studentowi, żeby chłopak miał przynajmniej za co wrócić pierwszym „pekaesem” do domu. Potem wstał, zbiegł szybko po schodach na dół, i wyszedł przed budynek, a ja z nim.

Była głęboka, czarna noc, blade świeciły we dno uliczne latarnie. Z restauracji „Europa” wyrzucano ostatnich pijaków. Na rogu, naprzeciw „Europie”, wsiadliśmy do taksówki i pojechaliśmy na dworzec kolejowy. Tam, w jasno oświetlonej restauracji, zjedliśmy po kotlecie schabowym z ziemniakami i kapusią, oraz wypiliśmy po gorącej herbacie z cytryną. Sted płacił za wszystko — z wygranej. Potem znowu wsiadliśmy do taksówki, pojechaliśmy z powrotem do „Peteteki”, i pośpialiśmy spać.

## Minęło kilka tygodni

I z pozoru wszystko wyglądało „po staremu”. Sted ponownie rozpoczął studia na pierwszym roku

romanistyki; mieszkał znowu w przepelnionej „szesnastce” w domu akademickim przy ulicy Stawiańskiego, wydrukował w „Kamieniu” te dwa wiersze, o których wspominałem poprzednio, a później: „Błogosławiona bądź, laźnio!” Ale jeszcze nawet wówczas nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, jaka ogromna zmiana zaszła w ciągu ostatnich miesięcy w twórczości Stachury, jakiego on nabrał — jako poeta — „przyspieszenia”, ile wierszy napisał, i w jakim natchnieniu, w jakim zapamiętaniu się pracował... W 1959 roku i na początku 1960 powstał przecież poza innymi utworami prawie cały poemat „Dużo ognia”. Powstała, wśród innych wierszy Steda, „Róża”:

W ogrodzie nocą chochol to król  
a narzeczona jego magleczna  
o łaskę króla ją pielęgnować  
a mnie to już nikt tak dawno bardzo  
dawno tak bardzo już nikt  
nie pielęgnował

czy ja jestem biała albo tygrys  
że mnie to już nikt dawno tak bardzo  
nie pielęgnował

albo to ja mam sklep korzenny sklepik  
zebym się sam niedziela po niedzieli  
pod ładą pielęgnował

w ogrodzie nocą chochol to król  
a narzeczona jego magleczna  
to może tak jutro magleczna

o łaskę króla mnie pielęgnować

Podaję ten utwór w takim brzmieniu, w jakim został wydrukowany w zbiorze „Dużo ognia”, wydanym przez „Iskry” w 1963 r., po — jak się należy domyślać — korekcie naniesionej przez Stachurę. Bo „Róża”, którą zamieścił w nrze 1 „Kamienia”, z 15 stycznia 1960 r., miała troszkę inaczey brzmienie ostatnie dwa wersy.

W tymże numerze „Kamienia” ukazała się duża proza poetycka Stachury: „Która jest jak oliwa na wodę”. Proza — wyznanie poety...

[...] Najgorzej było z pierwszym zdaniem, z pierwszym obrazem. [...] Ale kiedy znalazłem słowo, kiedy coś mi wyszło, to niepomierne była moja radość. A kiedy już napisałem wiersz, kiedy go ukończyłem, co to było! Jeśli nie było nikogo w pokoju i jeśli w pokoju było lustro, podchodziłem do niego i powtarzałem wiersz głośno, kilkakrotnie i radośnie, choć niewyraźnie mówię i zatrzymuję się w środku zdania, jak gdybym cieszył się ostatnim słowem, które przed chwilą wymówiłem niewyraźnie. Skakałem, śpiewałem, przewracałem krzesła, kopalem je, cieszyłem się. Jeśli w pokoju nie byłem sam i ktoś inny spał, kładłem się cicho i gryzłem poduszkę. Cieszyłem się. Zapalałem papierosa i powtarzałem cicho:

jak to jest że tak mało pokory ta  
chwila tania  
kiedy ręce na nią odpuszczam  
a więcej odbardzam  
bo oto prawie trzymam swoją  
nieobecność  
ze smutkują mi kwiaty w ogrodzie  
i laźnio  
więc pozdrawiona bądź ostatnia pora  
tęmienna  
twoj popiół biały w drzbany szkrzynie  
już po was  
i wdawaj swój obłąd w glazurach  
zawodzić zawodzić

A na szybach już świt czynił przezroczyście i widoczność galezi za oknem, i kamienie między galeziami i niebą między kamieniami. A tu najbliżej czyniła się agonia żarówki, która żyła ze mną przez całą noc, była moim nocnym stołcem, a teraz ustępowała miejsca światłowi, umierała, więc gasłem ją, gdyż szlachetnie jest przerywać agonie dobrej rzeczy lub pięknego i wernego zwierzęcia, i ja też umierałem nad ranem i prosiłem sen, by przerwał moją agonie, ale sen nie był szlachetny i długo jeszcze umierałem z wierszem na wargach, jak z ostatnią relikwią, opatrzony najświętszym sakramentem własnej mitologii. [...]

Półowa stycznia, pierwszy numer „Kamienia” z 1960 r., Lublin skuty mrozem, w „akademiku” na Stawiańskiego steżała duchota, na ulicy — para bucha z ust, grabieża dionie; za dwa tygodnie — w klubie „Nora” pierwszy „wielki” wieczór autorstwa Edwarda Stachury i —

## pierwszy wielki sukces.

W ostatnim tygodniu stycznia 1960 r. Sted zwrócił się do mnie z prośbą, abym okrył jego wiersze na wieczorze autorskim, który ma się odbyć już wkrótce, 2 lutego. Sam nie chce ich czytać. „Wiesz, jak jest z moją wymową — powiedział. — A ty jesteś obyty ze sceną”.

Istotnie, od lat siedziałem w teatralnym ruchu studenckim, potem — półkawodowym; grywałem epizodyczne role na scenie Teatru im. Osterwy, wreszcie — pracowałem jakiś czas jako pełnoprawny aktor w lubelskim Teatrze Laika i Aktora. I teraz jeszcze, mimo współpracy z „Kamienią”, żyłem dorywczo ze scenicznymi chałturami. Ale żeby wybrać Steda, padł akurat na mnie! Do da-

wał nie wiem, czy Sted wycofał we mnie najwłaściwszego lektora — odwrotnie jego poezji, czy też poza mną nie miał się do kogo zwrócić? Tak czy inaczej, podziękowałem się w pełni — jak by się dzisiaj powiedziało — „dowartościowany”. No i wyraziłem zgodę.

Wieczór odbył się jako bardzo prestiżowy. Miał się odbyć w klubie stowarzyszeń twórczych przy Krakowskim Przedmieściu 32, noszącym właśnie od niedawna nową nazwę — „Nora”. Organizowany był w ramach zainicjowanych ostatnio przez kierownictwo klubu do spółki z Lubelskim Oddziałem ZLP — „wtorków literackich”, i właściwie także przez redakcję „Kamienia”, jako że pismo było wówczas organem tutejszego oddziału Związku Literatów Polskich. Takiego wyróżnienia nie dostąpił jeszcze dotąd żaden z młodych lubelskich poetów.

Wieczór autorski Edwarda Stachury miał być trzecim dopiero z kolei „wtorkiem literackim”. Dwa pierwsze odbyły się w styczniu, wzbudzając duże zainteresowanie w środowisku kulturalnym. Podczas inauguracyjnego wieczoru Ireneusz Opacki mówił o poezji Juliusza Słowackiego. Następny „wtorek” poświęcony był pamięci zmarłego niedawno tragicznie Alberta Camusa; słowo wstępne wygłosiła Anna Jakubiszyn-Tatarkiewicz, fragmenty utworów pisarza czytał Adam Tomaniak. A teraz — wieczór autorski Stachury!

Myślę, że swój wieczór autorski zawdzięczał Sted przede wszystkim Annie Tatarkiewiczowej, związanej wówczas silnie z „Kamienią” (była jakby zastępcą redaktora naczelnego, Marii Bechezy-Rudnickiej). Pani Anna nie tylko znała się na literaturze, ale również potrafiła poznać się na ludziach, którzy literaturę szturmowali. A także chyba — Stefanowi Żarebskiemu, poecie, tłumaczowi Goethego i Schillera, przedstawicielowi „średniego pokolenia” lubelskich pisarzy, który w „Kamieniu” pracował jako tzw. sekretarz techniczny. Pewnie właśnie ostatnie utwory przynieszone przez Steda do redakcji — te, które wydrukowano w 1 i nrze „Kamienia” ze stycznia 1960 r. — „Róża” i „Która jest jak oliwa na wodę” (przedtem: „Błogosławiona bądź, laźnio!”) i jeszcze inne, spoczywające na razie w teczkach redakcyjnych, zdecydowały o zaprezentowaniu jego twórczości na pierwszym lutym „wtorku literackim”.

Sted wręczył mi spory plik kartek; wiersze były przepisane na maszynie, czysto, wyraźnie, z ogromną dbałością o przejrzystość i układ graficzny tekstu. Umówiliśmy się na poniedziałek rano, za kilka dni, w kawiarni „Lublinianka” na „roboczą” próbę. Do tej pory miałem sobie wiersze „naoczytać” w domu.

## Kiedy pojawiłem się

w poniedziałek 1 lutego, w pustej jeszcze zupełnie „Lubliniance”, Sted już czekał. Siedział na samym końcu dolnej sali, przy okrągłym stoliku, w rogu po lewej stronie, przy oknie. Był zziębnięty, zmęczony, jakby — niewyspany. Okazało się, że ostatnią noc spędził „na Cichej”, w areście pobliskiego komisariatu milicji, gdzie trafił po wdaniu się w jakąś awanturę. Ale kiedy wypił — od razu jedna za drugą: dwie herbaty (mógł ciągle pić herbatę), szybko zaczął stawać na nogi.

Pamiętam dobrze, że z miejsca, w sposób bezlitosny, skrytykował moją interpretację i sposób czytania. Wszystko miało być nie tak. Zupełnie, albo prawie zupełnie, inaczej. Miał drobniutko przemyślaną każdą intonację, każdą pauzę, każde zawieszenie głosu, nateżenie jego brzmienia w poszczególnych wierszach. Żądał, aby zwracać przede wszystkim uwagę na wewnętrzny rytm utworu, na jego „falowanie”, na melodię w nim zawartą. To miało być raczej coś w rodzaju — „wyspiewania”, a nie: „wyrecytowania”. Tej poezji... Może nie tak akurat się wyraził: „wyspiewanie”. Ale o to chyba właśnie szło. Zresztą tylko częściowo mi wyjaśniał i tłumaczył, o co mu chodzi. Przede wszystkim — sam mówił każdy swój wiersz, chcąc, abym go, po prostu, naśladował... Oczywiście, gdybym się w te wiersze nie „wzruszył” tak jak on chciał, nie przeżył ich wspólnie ze Stedem, nie „dostroił” się do jego wrażliwości, rezultat byłby żaden.

Był nieprzejednany i niestrudzony w cyzelowaniu najdrobniejszego, najmniej, zdawałoby się, znaczącego szczegółu. „Katował” mnie przez długi czas, wiersz za wierszem. Najpierw, w dolnej sali „Lublinianki”, a potem — na dancinowym „pieterku”, gdzie przedtem się, gdy parter kawiarni zaczął zapełniać się gośćmi.

Na „górze” panował spokój; o tej porze nie bywał tam jeszcze nikt. Czytałem strofę za strofą, a Stachura w skupieniu, przymknawszy oczy, towarzyszył, szeplem, prawie bezgłośnie — jakby się modlił... W pewnym momencie postyszałem, że coś głośno mówi.

„Co takiego?” — podniosłem głowę nad kartki.

„To — godne Homera! To — Homer, to — Homer...” — powtarzał Sted z upojeniem.

Zatkało mnie. Nie wiedziałem, jak się zachować, nie wiedziałem, jak się zachować, ale i jak... wzniósłszy zarazem w tej swojej egzaltacji, w tym bezgranicznym zachwyceniu...

(oda)

# Z WĘGLEM (nieco) JAŚNIEJ

Dokończenie ze str. 1

wy kopalni w Bogdanie — 1990 rok; w Stefanowie — 1995).

Zasiedliśmy w głębokich krzesłach z rzeźbionymi oparciami, za stołem pokrytym czerwonym sukniem, przy jabłkach, paluszkach, herbatnikach i kawie. Dyrektor naczelny przedsiębiorstwa — Kazimierz Józefczyk, zastępca do spraw pracowniczych — Jerzy Tryka, i sekretarz KZ PZPR — Jacek Kamiński, działacze związkowi i młodzieżowi, i my — dziennikarze. Pierwsza to taka konferencja dla prasy z inicjatywy Zakładu Robót Górniczych w Łęcznej. Mówimy o sprawach, na których wszyscy mają ambicję się znać, i o kilku, które są nowe. Za dużą szybą biurowca dostrzegam narożnik magazynu handlowego, gdzie na Kartę Górnik można nabyć aparaty fotograficzne Canon (nie ma amatorów) i wiertarki Boscha, telewizory, pralki i modne ciuchy.

Górnicy zawsze stanowili, według mnie, tę część wielkoprzemysłowej klasy robotniczej, która w powodzi socjologicznych przemian zachowała najwięcej z cech klasycznego proletariatu: własną, wyrazistą moralność, nie naruszone zasady integracji zawodowej, odwagę, a przede wszystkim nigdy nie rozchwianą gotowość przeciwstawiania się trudnościom. Wysokie zarobki, ulgi i górnicze „pewexy” wypracowywane są nie tylko zasługami dla eksportu, widmem ciągłego zagrożenia życia, ale także postawą, na której trudno się zawieść.

Mimo wtopienia się bez reszty w lubelski krajobraz, zakład trzyma się z uporem Gwarectwa Budownictwa Węglowego w Katowicach. Nie wypływa to jednak, jak można by sądzić, z przywiązania do idei dawnych zjednoczeń, lecz jest jedynie wynikiem umiejętności ekonomicznej kalkulacji. Pilnując zapobiegliwie własnego prawa do trzech „S”, ZRG widzi w pozostawaniu w ramach szerszej struktury szansę na lepszą kooperację, pełniejszą wymianę myśli, sprzętu i doświadczeń. Prawa ekonomii stanowią tu sprawdzalny czynnik właściwego sterowania pracą. No bo choćby taka sprawa; załoga liczy 1750 osób, z tego 1200 to pracownicy dołowi, a załedwie 140 to administracja (resztę stanowi nadzór techniczny). Czy będą tu kłopoty z atestacją?

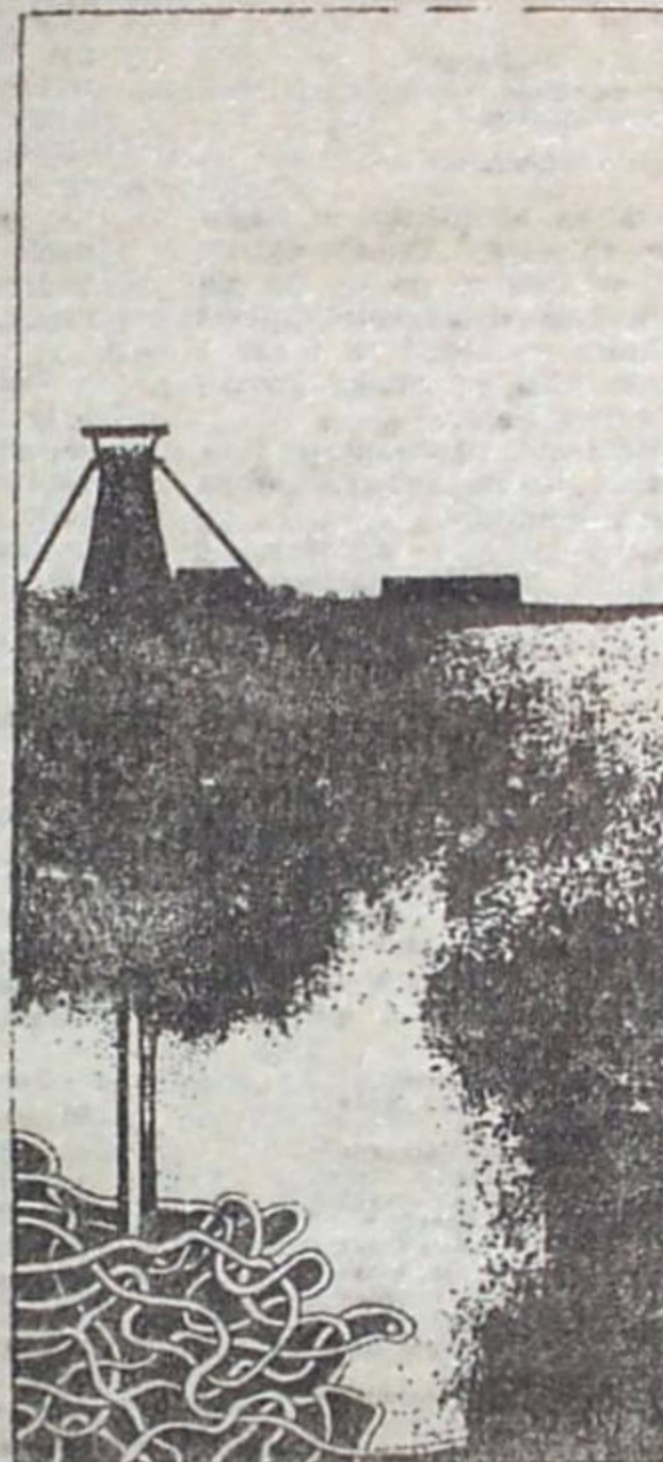
Równie skutecznie radzą sobie górnicy z innymi podstawowymi problemami stanowiącymi w wielu branżach bariery nie do przebycia. Choć nad Łęczną nie rawaze jeszcze świecić słońce.

Firma nie ma problemów z naborem załogi, a rotacja w jej szeregach to ułamek procenta. Średnia płaca wynosi tu (wliczając pracę w soboty) — 52 tysiące złotych. Możliwość awansu są autentycznie duże. (Główny mechanik w ZRG liczy 31 lat, a kierownik robót górniczych — 35.) Na Śląsku na taki awans czekali by dobrze kilkanaście lat. Ma także zakład rozległe kontakty zagraniczne i może zaferować zarobek dewizowy, choć wyjazd na kontrakt nie traktuje się tutaj jako nagrody, a jedynie jako zwykłe skierowanie na nowy odcinek potrzebny w danej chwili fachowca. (Specjalizacja poszła tak daleko, że Chificycy zapragnęli posiadać cały schemat naszej organizacji budownictwa górniczego.)

Zalecany obecnie, choć tu i ówdzie nieco podejrzliwie traktowany, brygadowy system pracy funkcjonuje w ZRG bez zakłóceń już od lat. Zakład zawiera umowy akordowe z brygadą, a fakt ten gwarantuje właściwą dyscyplinę pracy i eliminuje amatorów lekkiego zarobku. Jedną nie zasadniczą absencją na stanowisku roboczym kosztuje pracownika około 150 tysięcy złotych (przepadają wszystkie wynagrodzenia premiewe). Lekarze zakładowi niezwykle rzadko sięgają po bloček L-4. Zastosowanie nowego kombajnu (produkcyjnego Lublińskiego Zakładu Budowy Kopalni), co było swego czasu rewelacją na skalę krajową, a nawet międzynarodową, pozwoliło na pełne opanowanie problemu wierceń na dzień. Urządzenie to zastępuje pracę dwunastu

ludzi i umożliwia wyrabianie 1,60 m przekopu na dobę. W LZW wydrążono do tej pory 6800 metrów szybów, roboty korytarzowe osiągnęły 15 km, a komorowe przeszło 130 tys. m sześć. Inwestor nie jest w stanie zapłacić za wszystko, co jeszcze mogłoby być wykonane!

Przewrotne paradoksy naszej gospodarki docierają i tu. Za ów rewelacyjny, na przykład, kombajn zakład w Łęcznej zapłacił 7 milionów złotych, a dokumentacja pochłonęła dalsze 1,5 miliona. Inwestor odmawia jednak zwrotu nakładów na postęp naukowo-techniczny. (Ostatnio nastąpiła w tym stanowisku niewielka zmiana.) Działalność racjonalizatorska przestaje się opłacać. Nie zatem dziwnego, że nie istnieją też żadne formy współpracy choćby z Politechniką Lubelską. W dziedzinie kooperacji nauki z przemysłem wszystko pozostaje „w normie”. Jest jeszcze problem stali. Według „starzyków” ze Śląska, zbyt wiele jej pochłania lubelska ziemia. „Oni topią morze żelaza” — powiadają. ZRG widzi w tym jednak prawidłowość...



Rys. Z. Krystjańczuk

Coraz natężyciej narzuca się wniosek, iż rozcięcie ogólnokrajowego górnictwa węzła mieszkaniowego umożliwi najpełniej budownictwo zakładowe. Gdy górnicy postanowili sami budować sobie mieszkania, budowlani, jak zwykle w takich przypadkach, podnieśli alarm. Czy jest to obawa przed konkurencją, czy poczucie naruszenia „przypisanego działości”, nie wiadomo. Władcom jednak, że kryje się tu pewna część prawdy o... prawdach obiektywnych. Stosunki placowe tymczasem w obu formach budownictwa pozostały takie same (co budziło najwięcej obaw), pomysł się, rzecz jasna, obronił i pierwszy budynek oddano na Barbórkę '85. (Cykl realizacji wyniósł 15 miesięcy.)

Cały program rozwoju budownictwa zakrojony jest na 10 lat, a do 1990 roku planuje się całkowite zaspokojenie ambicji pracowniczych w tym zakresie. (Potrzeby na dzień dzisiejszy ocenia się na 350 mieszkań, przy czym pod koniec tego roku odpadnie z tej listy 77.) Każdy z oczekujących na własne M oceniany jest według jedenastopunktowej ankiety. Najwyżej premiowaną zaletą pozostaje odpowiedni stosunek do pracy. Niedłży kilkunastu petentów nachodziło codziennie rozmaite komórki socjal-

ne zakładu z pretensjami o własny kąt. Dzisiaj wszystko jest jasne. Listy obejmują przydziały na najbliższe pięć lat i każdy wie dokładnie, kiedy otrzyma klucz. Tylko zmiany w ocenie postawy mogą ten porządek zakłócić.

Na pytanie: dlaczego zakład, który ma budować kopalnię, buduje także mieszkania, usłyszeliśmy taką odpowiedź: „Musimy to robić. Dopóki będą istnieć monopolisci, zawsze będzie się działo źle. Zresztą czy to ważne kto buduje? Ważne, żeby budować”.

Poszukiwanie w Łęcznej górniczej tożsamości wciąż jeszcze pozostaje zabiegiem jałowym. No, może „karczna piwna”, ze swoim bogatym obrządkiem i wycieczkami (coż, kiedy otwiera podwoje tylko raz w roku), no i jeszcze górnicze młotki skrzyżowane od niedawna pod herbem miasteczka... Aż dziwi bierze, że środowisko tak specjalne i zasobne nie stara się wypracować najmniejszych oznak własnej odrębności. Wielka płyta zagraca Łęczną tak samo jak zagraca Parczew, Kock i dziesiątki innych miast i miasteczek. Czy górników nie stać na fantazję i rozbijanie schematów? Program budownictwa jednorodzinnego, owszem, istnieje, tyle, że większość domków ma stanąć na lubelskim osiedlu Choiny. A obiekty ogólnospoleczne niczym nie odbiegają od naszej urbanistycznej szampy.

Dumą przedsiębiorstwa pozostaje Zakładowa Orkiestra Dęta, i to jest piękne. Wygrywała już regionalne konkursy, a na ogólnopolskim pogrzebała swoją szansę, trzymając się kurczowo górniczych przyśpiewek. (Inne grały tymczasem Mozarta.) Ma na Barbórkę „huknąć” pod oknami szefa, a potem przemaszerować ulicami Łęcznej.

Zgodnie z niegdyśjszymi marzeniami, Klub Sportowy Górnik Łęczna powinien już w tym sezonie rozgrywać mecze z Realem Madryt. Na razie walczy dzielnie w III lidze. Sekcja piłkarska stanowi w założeniu swego rodzaju motor napędowy i powinna otwierać pole do działania dla innych dyscyplin sportu. Przy piłkarzach wyrosło już niespodziewanie silne koło zapasników. Dyrektor opowiada nam o Iksyńskim, z którym do niedawna toczyli przegrane boje leczyńscy pedagodzy, a którego „wyprostował” sport. Za oknami sali konferencyjnej widać boisko do koszykówki z prawdziwego zdarzenia. Tylko basen pozostaje nadal w sferze planów, choć budowę jednego niegdyś rozpoczęto. Kafelki podpadały, petycje do ministra o przydział dewiz na dokończenie obiektu załamały się, a ludzie zapomnieli, jak się pływa. Rajd samochodowy Monte Carlo wpisał się jednak na stałe do kalendarza sportowych wydarzeń i to nie tylko Lubelszczyzny. Cieszy także fakt ogromnego zapotrzebowania na sport masowy. Każda impreza typu spartakiadowego przyciąga tłumy widzów i startujących. W myśl prawdy o integracji, oprawą tych imprez zajmują się organizacje młodzieżowe, a wspomagają je związki zawodowe (na 1750-osobową załogę do związków należy 1254 pracowników).

Kiedy przychodził sezon urlopowy, zapotrzebowanie na czasy zorganizowane okazuje się znikome (rocznie około trzystu zgłoszeń). Spora część górniczej załogi „obrabia” w owym czasie własne gospodarstwa. Węgiel węglem, a ziemia to naprawdę coś.

Istnieje współpraca z Lubelsko-Chelmskim Gwarectwem Węglowym. ZGR buduje, a L-ChGW ma eksploatację. To właśnie tutaj następuje zderzenie pojęć lubelskich chłopów-robotników i śląskich gwarków. Tutaj trwa przenikanie wzorów, postaw i obrządków. Nie brak dysonansów między już górniczym profesjonalizmem, a wciąż jeszcze niezadarnym przymierzaniem się do kilofa. Na konferencji tego nie powiedziano, ale stosunki między obu partnerami nie są chyba zbyt kordialne. Wzajemną odrębność, rywalizację, a czasami może i niechęć, bardziej się tu wyczuwa niż dostrzeżę. Proces lagodzenia tych zadrzań jest to zapewne zjawisko długotrwałe i rozłożone w czasie. To pełna integracja zadecyduje jednak naprawdę o przyszłym obliczu tego zakątka Polski. Według stanu na dziś, Łęczna wciąż jeszcze pozostaje wieloregionalnym tygłem.

Konferencję zakończył górniczy obiad, po którym wracaliśmy do Lublina w szarym listopadowym mroku. A ja rozglądałam się między nowymi blokami i starym chałupkami z drewna za bardziej widocznym znakiem, że gdzieś w pobliżu huczy wielki przemysł.

Wiesław Horabik

Grafika z tekstu wydanej przez Kopalnię Pilotującą Węgiel Kamienny w Bogdanie.

Z okazji 50 rocznicy istnienia Instytutu Reanimatologii Ogólnej Akademii Nauk Medycznych ZSRR w Moskwie odbyło się niedawno sympozjum międzynarodowe, poświęcone najbardziej aktualnym zadaniom stojącym przed reanimatologią. Wkład lekarzy radzieckich w tę dziedzinę medycyny jest bardzo duży. Wystarczy powiedzieć, że pierwszy na świecie instytut specjalistyczny zajmujący się tą problematyką powstał właśnie w ZSRR. Od początku istnienia Instytutu Reanimatologii Ogólnej Akademii Nauk Medycznych ZSRR placówką tą kieruje członek Akademii Nauk, Władimir Niegowski. Reanimatolog z wielu krajów świata uważają się za jego uczniów. Jednym z nich jest prof. Peter Safar z Ośrodka Badań Reanimacyjnych przy Uniwersytecie w Pittsburgu w USA. Jest to największy amerykański ośrodek badawczy tego typu. Tygodnik „Moskowskie Nowosti” (nr 40/1986) zamieścił wywiad z członkiem Akademii Nauk Medycznych ZSRR, Władimirem Niegowskim, oraz z prof. Peterem Safarem.

## Klasówka Z czystości

Marta Denys

Co wiesz o zamilowaniu do czystości w Japonii? Podaj przykład i porównania. Co wiesz? W kraju tym co prawda nie byłam, Japończyków znam dwóch — z widzenia Kurosawę i ze słyszenia Hiroko Nakamura — ale wiem, że Japonia od dawna jest chora na czystość. I wiem to z dobrego źródła, bo korespondencją własną z kraju kwitnącej wiśni redaktora Ryszarda Bańkowskiego, pomieszczonej w 42 numerze „Służby Zdrowia”. Więc jak nie dać wiary tej „ściągawce”?

Otóż niedościgniona w tym kraju higiena — jak pisze autor — budzi wśród cudzoziemców już nie tylko zazdrość, lecz i ... zawiść. Każdy Japończyk wygląda tak, jakby przed chwilą wyszedł z balii. Wyświeżony, schludny, co dodają nie bez powodu, bo u nas porównanie: jak z balii — oznaczać może wygląd akurat odwrotny.

Więc na doniesienie autora, że Japończyk po całym dniu pracy, kilku przesiadkach w metro, po wyjściu z głównego dworca Sinjuku w Tokio, gdzie przewija się dziennie ponad milion pasażerów, jest nadal świeżutki i jakby dopiero co odprasowany — robię się już zielona z zazdrości. W Lublinie wystarczy raz tylko przejechać się w godzinach szczytu spod Krakowskiej Bramy na LSM lub w innym kierunku, a człowiek wygląda jak wyjęty psu z gardła, w najlepszym zaś przypadku — jak z lańki. Porównania — jak widzę — znów są niebezpieczne, bo nasza lańka niekoniecznie oznacza japońską balie.

— Jak starożytni uważali, że istnieją rzeźbione wizerunki „drogi śmierci” — serce, płuca i mózg. Które więcej z tych „drog” są główne? Na czym polega problem numer jeden współczesnej reanimatologii?

W. Niegowski: — Badania przeprowadzone w ostatnich dziesięcioleciach uczyniły ośrodkiem całego procesu reanimacyjnego mózg. Przywrócenie oddychania, krwiotęku, funkcji nerek i wątroby oraz innych organów i systemów — to wszystko zmierza do jednego celu, a mianowicie pomóc ożyć mózgowi. Dopóki nie umarł mózg, trzeba walczyć o życie człowieka.

— Wiadomo, że obecnie w doświadczeniach prowadzonych na zwierzętach dokonuje się pierwszych prób przeszczepiania mózgu w niskich temperaturach. Na ile perspektywiczne są te prace?

W. Niegowski: — Pierwsze próby przeszczepiania tkanki mózgowej, prowadzone przez prof. R. White'a z Cleveland, mają dla medycyny nieocenione znaczenie. Jest to prawdziwy skok w teorii neurologii. Oczekuje nas odkrycie wielu tajemnic mózgu. Co jest niemożliwe bez prac nad przeszczepianiem.

F. Safar: — Ja w ogóle patrzę z optymizmem na przyszłość naszej nauki. Jeśli obecnie okres ocalenia wynosi 5-6 minut po śmierci klinicznej, to do 2000 roku, wydaje mi się, będzie można przywrócić do życia człowieka również po 20-minutowym stanie śmierci klinicznej przy normalnej temperaturze i po kilku godzinach przy niskiej. Jednakże w żaden sposób nie łączę tych perspektyw z przeszczepianiem mózgu. Przeszczepy są, moim zdaniem, nierealne z wielu powodów. Jednym z nich jest na przykład prawie całkowita niemożliwość znalezienia odpowiedniego dawcy.

— A co to takiego śmierć kliniczna?

W. Niegowski: — Ostatni etap umierania. Nie jest to jednak jeszcze śmierć, choćby dlatego, że możliwe jest jeszcze ożywienie. I trzeba walczyć. Pięknie ktoś powiedział, że należy „nie dopuścić, by nie życia urwała się, dopóki jeszcze nie została zużyta cała przędza”. Wypływa z tego, moim zdaniem, główne zadanie reanimacji — zapobiec rozwojowi ciężkiego stanu granicznego (między śmiercią kliniczną i biologiczną), zawrócić jak można

najprędzej proces umierania, czyli, jednym słowem, nie dopuścić do rozwoju śmierci klinicznej.

F. Safar: — Wie pan, umieranie, a zwłaszcza śmierć kliniczna, są znacznie słabiej poznane, niż narodziły. Żeby uzupełnić wiedzę o nich, należy stworzyć na świecie system badań, w którego ramach cała sieć ośrodków medycznych szlaby po ustalonych z góry, głównych kierunkach.

— W książce amerykańskiego uczonego Roberta Moody „Życie po życiu” znajdują się wspomnienia ludzi, którzy przeżyli śmierć kliniczną. Jest tam wiele rzeczy podobnych — „tunel” i „plama świetlna” na jego końcu bądź początku... Ale jest również coś innego — człowiek widzi, jak oddziela się

## Życie po śmierci

od swojej powłoki zewnętrznej. A co mówią nasze doświadczenia z kontaktów z ludźmi, którzy przeżyli śmierć kliniczną?

W. Niegowski: — Ludzie przywróceniu do życia przyjmują śmierć kliniczną jako sen, ponieważ kora mózgowa gaśnie przed ustaniem pracy serca i zatrzymaniem oddychania. Ożywienie odbywa się, jak wiadomo, w odwrotnym porządku i kora mózgowa jest przywracana do życia w ostatniej kolejności. Nigdy nie słyszałem od nich nie o „oddzieleniu się od ciała”. Jeśli zaś idzie o plamę świetlną, to jest to naturalne, bowiem jest to najbardziej prymitywna reakcja nerwu wzrokowego. W oftalmologii ozdrowienie zawsze zaczyna się od oddzielenia światła i mroku. „Tunel świetlny”, cylinder, pasmo — to również można wyjaśnić. W korze wzrokowej są komórki, które gasną jako o-

statnie. I właśnie one przekazują tę prymitywną informację.

— Jakie są, sformułowane pokrótce, dalekosiężne, ostateczne cele waszej nauki?

F. Safar: — Wymienilibym cztery, ściśle związane ze sobą. Należy dokładniej określić granice odwracalności stanów granicznych. Odkryć nowe możliwości leczenia i pełniej wykorzystywać już odkryte. Optymalizować prognozy rozwoju chorób. A wręcz w przyszłości trzeba będzie ściślej powiązać reanimację z transplantacją.

— Wiadomo, że w Stanach Zjednoczonych prowadzi się na szeroką skalę szkolenie ludności w zakresie podstawowych metod reanimacji. Tego rodzaju naujoków nabiera się tam na specjalnych zajęciach nawet w szkole. A jak wygląda sprawa w ZSRR?

W. Niegowski: — Obecnie również w naszym kraju przygotowuje się specjalne programy. Pierwsza szkoła przygotowująca ludność do podstawowych działań reanimacyjnych powstaje, o ile mi wiadomo, w Irkucku. Sprawa jest nadzwyczaj ważna, bowiem uda się ocalić setki ludzi, jeśli pomoc będzie nadchodzić szybciej, niż przyjedzie karetka pogotowia.

— Reanimatologia niezależnie od tego, w jakim stosuje się ją kraju, ma wyjątkowo humanitarny charakter, bo przecież kropla po kropli, milimetr po milimetrze, dosłownie po jednym oddechu ożywiamy życie ze sponowu śmierci. Ale przecież nikomu nie pomogą ani doświadczenia lekarzy, ani lekarstwa, jeśli zacznie się katastrofa, na której granicy doprowadził ludzką miłość.

F. Safar: — Podczas sympozjum odbyliśmy specjalne posiedzenie „lekarze świata przeciwko wojnie jądrowej”. Wystąpiłem na nim jako stary uczestnik ruchu antywojennego lekarzy amerykańskich. Mówiłem o tym, że kiedy nasilają się kłótnie, nasila się ryzyko wojny. A czy może być większe przestępstwo przeciwko ludzkości?

W. Niegowski: — Wydaje mi się, że doświadczenia lekarzy mogą być użyteczne również dla polityków — należy, nie bacząc na nie, walczyć o życie. Walczyć, dopóki jest najmniejsza szansa. Walczyć i wierzyć.

Japończycy nie podają sobie na powitanie rąk, zastępując ten gest całym namostwem ukłonów. To nie tylko odwieczna tradycja, ale głównie higieniczny względ podyktował im taki właśnie sposób na kurtuazję. A jeśli zdarzy się Japończykowi przywitać europejskim zwyczajem, to pewnie jest, że zaraz dyskretnie wytrze sobie po Europejsku rękę i czym prędzej wyrzuci chusteczkę — jednorazowego kreślą użytku — by usunąć nie tyle brud, co samo wyobrażenie o tym, ile tą drogą dotyku może przemieścić się bakterii!

A my się bakteriami nie boimy. Gdzie się ruszy, widok brudnych rąk zderza się z naszą codzienną koniecznością nabywania i konsumowania artykułów spożywczych. Nawet salmonella nie jest nam straszna. Oto sklepik w Frampolu. Ręce ekspedientki lepią się od brudu, podobnie jak lada, półki i podłoga. Pytam — dlaczego jest tu tak brudno?

— A co, pani jest z Sanpidu?

— Nie.

— To, po co się pani wtrąca?

Inny przykład. Sklep spożywczy na Krakowskim Przedmieściu w Lublinie. Ekspedientka maże czarnej od błota szara posadzkę. Ktoś prosi o chleb, ta chwila ręce o fartuch i podaje pieczywo.

Nie tak dawno przecież chcieliśmy u nas, w Polsce, budować drugą Japonię. Proszę bardzo. Oto na początek sprzedaż chleba po japońsku: klient bierze

tać i szczypec, po czym wybiera sobie pieczywo, nawet te jego rodzaje już opakowane w folię, i kładzie na tapecę, podchodzi do lady, gdzie ekspedientka w nieskazitelnej bieli przekłada także szczypcami wybrane pieczywo do torebki — cały czas uważając, by nie dotknąć go rękami — następnie zalepia o wą torebkę szczelnie taśmą. Proste? Proste, ale nie u nas, nawet wtedy, gdybyśmy zamierzały trzecią budować Japonię. Chociaż nie! Zamiast szczypic, mamy już... papierki do macania chleba, czy świeży!

Tego Japończyk by nie wymyślił! Po-lak potrafi! Jak również i to, by kłaść chleb na najbliższych półkach, bliżej sklepowego kurzu i brudu; by w ogóle sprzedawać pieczywo w ciasnych, małych pomieszczeniach, gdzie każdy klient omiata piaseczem grahamy i pul-tuskie bochenki (vide: Krakowskie Przedmieście, ulica Osterwy) i wszystkie prawie sklepy spożywcze. Nie mówię już o warunkach transportu i paru innych rzeczach, które z ludzką to woli i niechlujstwa decydują o jakości chleba naszego, powszedniego, że uchowają nas, Panie!

O Japonii można by nieskończenie, a ja „ściągnę” jeszcze od redaktora Bańkowskiego informację o „kucanych” ubikacjach, kierowcach autobusów i taxi pracujących w białych rękawiczkach, pucowanych do „nowego” koparkach i spychaczach, jak również i to, że Japonia jest krajem o najwyszczyszczonym na świecie zużyciu środków czystości w przeliczeniu na jednego mieszkańca.

Pamiętamy, był u nas, całkiem niedawno, taki czas, kiedy zapasy środ-

ków piorących, szamponów itp., zgromadzone w piwnicach i tapczanach, przekroczyć mogły znacznie tę japońską statystykę, co bynajmniej nie oznaczało, że byliśmy czystej. Wprost przeciwnie.

A teraz coś z przykładów widzianych na tak zwane własne oczy: Alma-Ata, bazar. Na stołach w hali ściąle wschodni przepych — choć to dopiero marzec — owoców i jarzyn, ziół i kwiatów, stoiska z kuryssem (największym o 7 rano) i mięsem. I sprzedawcy w szluzobiałych zaręczawkach i fartuchach. Pachnie świeżo i czystością.

Zamykam oczy i widzę nasze lubelskie bazy. Jest znacznie lepiej niż było, ale nadal za dużo jeszcze śmieci i odpadków, szczególnie przy samochodach, z których prowadzona jest sprzedaż, i na chodnikach, gdzie rozkłada się „garstkowy” handel — ot, garstka fasoli, pietruszki, kilka ząbków czosnku na skrawku gazety lub folii. I nadal trafiają do toreb jabłka i gruszki nie tak piękne, jak te wyglansowane na przodku przyzmy, a mniejsze i źle leńsze, choć w tak samo wysokiej cenie. W Alma-Ata można wybrać sobie owoce, co do jednej sztuki... Ale to już temat na inne wypracowanie.

W innym mieście ZSRR słyszę raz — popołudniową porą — dzwoni. Na nabieżność? Nie, to wywóz śmieci tak się ogłasza. Podjeżdża ciężarówka, wychodzi kierowca z dzwonkiem, a potem odbiera kubelki i wysypuje do pojemnika. Kto nie zdąży lub komu się nie chce, leżą mu śmieci do następnego razu.

Jedyny dalej, „mit szerokiego megnie-nia”? Co chcieliście państwo zobaczyć? Może węgierskie podwórka w starym budownictwie? „Kerem szepen” — proszę bardzo, Budapest, Debreczyn. W większości podwórka i oficyny wykorzystane są tam na małe rzemiosło i handel. Inne — na domowy, gospodarski zakątek. Nie straszą ani drewniane budy, ani grały, ani śmietniki. I akcja „Posesja”, widać, wcale tam nie potrzebna. A śmietniki to wyglądają jak japońskie bez mała koparki — pod względem czystości. Patrzę, podjeżdża technika „śmietniarka”, pracownicy cicho i sprawnie wysypują zawartość plastikowych pojemników, szybko też zniatają to, co się po drodze wysypało.

U nas — podobnie, tyle, że z hałasem i bez sprzątania po sobie. Waska specjalizacja. Śmieci po MPO leżą sobie od piątku do poniedziałku, jeżeli osiedlowy gospodarz (sprzątaacz) ma na przykład chorobowe. O Starym Mieście w Lublinie nawet nie wspomnę, ani też o Bramie Grodzkiej, gdzie śmietniki stać muszą, i koniec.

Jeszcze tylko skok do Zwingeru w Dreźnie. Nie, nie do galerii, a... w.c. Za każdym, żeby nie powiedzieć: siu-

siającym, wchodzi „babcia” i specjalnie szczołką dezynfekuje sedes. Coś jak w Japonii, o czym również wspominał w swojej korespondencji redaktor „Służby Zdrowia”.

A u nas? Przykładów natrzepać może znać jak z rękawa. I wychodzi na to, że ani się jeszcze przyslowiowy Kowalski nie nauczył... zlatwiać, ani też nie przywykł po sobie sprzątać. Gdzie śladzie, wszędzie zostawia po sobie brud, śmieci, nieporządek. Kowalski o siebie w domu zzuwa buty, „wywalona glazurę w łazience sto kilkadziesiąt tysięcy a samochód, jak mył, tak mył je dalej w jeziorze, a reszki po piśmie — butelki, puszki, papierzyska — wyrzuca do lasu lub rzeki. Nie nie ma, uczyły go podróże zagranicę. I owszem, nie widząc siebie, gani innych, że brudasy. A po takich Kowalskich całe ekipy prawdziwych turystów sprzątać muszą Tatry. Ostatnio pan Marek Kosiński znów poderwał kawałek do lańcucha, tym razem czystych w.c. Na początek młodzieżowe grupy sprzątać będą stołeczne ubikacje, po Kowalskich i reszcie podobnych.

Gdzieś tam, na dalekim Zachodzie, są autostrady, a przy nich, w miejscach, gdzie nie ma diabła, by powiedział dobranoć, przydrożne postoje: ławy, stoły, zadaszenia, miejsca na ogień i pobór wody. No i toalety, w których nasz Kowalski pogubiłby się do reszty. Czyste, ładne, z mnóstwem kosmetyków. Brać używać? Za darmo, nikt nie patrzy? Śmietniki wyszczupiane nowymi workami z folii. I znów ta cholerna czystość! Gdzie się człowiek ruszy, same czystości.

Niedzielne przedpołudnie w dużym bułgarskim mieście. Mój gospodarz od rana zbiera się jakby do drogi: pakuje do torby koszule, skarpetki, coś z bielizny i ręczniki; ile, nie wiem, ale dość pakato. Na siebie zaś zarzuca stary kożuch, choć jest całkiem jeszcze upała. Pomyślałam: pewnie wybierają się na wycieczkę, zebranie, odwiedzić znajomych — mnożę warianty. Ale nie! Wykwipował się tak do... bani. Ładną miśkaję! Na solidną parówkę, choć w domu niedawno elegancznie wyglądował swoją łazienkę z prysznicem, wanną i brodzikiem. Po obiedzie, zyskowała się jego śladem — podobnie jak i sąsiadki z ulicy — jego żona.

No, co kraj, to obyczaj.

— W Lublinie, 300-tysięcznym mieście czynny jest jeden (słownie: jeden) zakład kąpielowy.

A jeśli już — tytułem postscriptum do wypracowania — będziemy tacy czysti, to czy będziemy — lepi? W każdym razie — zdrowi. A to już jest coś!



Rys. Zygmunt Pytlík



KOCHAŁEM UKRAINKĘ

spadła w me myśli  
nie naga  
cała  
i zatańczyła  
z nią zapach i kwiaty  
nawet skowronek  
który coś mi szeptał

że kraść nie umiem

nie potrafię  
choć mnie tak uczyli  
poeci  
martwi już dzisiaj

i ona sobie wydrzeć nie dała  
drzew  
ani wiatru  
który czasem w nich sieda  
i swoim je napelnia oddechem

i skłódkiej ciszy  
która tuląc ciała  
opada zmęczona  
gdzie wcześniej usta

i szronu poranka

w nim obudzony  
spytalem  
czy sen

to mi zostało  
i echo rozkosznej nocy  
w której jestem  
cały  
i wleceją  
bo przecież kochałem

dłaczego mamciu płaczesz  
przecież dobry świat  
i ludzie

nie płaczę

mamciu  
ale dobrze jest chyba  
czasami tak schować się  
i zapłakać

DEBIUT

Edyta Osmolińska

DZIEWCZYŃKA Z FIOŁKAMI

z tajemniczą miną  
przykucała pod krzakiem  
z małej rączki  
wyglądają trwoźnie fiołkowe lebki  
zielony listek w kształcie serca  
wiatr figluje  
w niesfornym warkoczku ze wstążeczką  
drobne paluszki  
sprytnie donoszą zaciśniętej piąstce  
coraz nowych włośnięć

jeszcze nie wie  
że przyjdzie czas  
lecących oczek  
wysokich obcasów  
nie będzie fiołkowych tajemnic  
pod krzakiem bzu dzikiego  
nastanie Czas Kobiety

odnajdujemy własne twarze  
poznajemy się w gestwinie masek  
moment wystarczy by wiedzieć  
coś nas łączy  
może ta agrałka w skórze  
może ta luka  
w zdrowym rozsądku  
dnia codziennego

Banuta Polak

Codziennie  
jak kartkę z kalendarza  
wyrzucam  
częstkę pragnienia  
na półce  
czeka cierpliwie  
kalendarz  
na przyszły rok



KIEDY JUŻ

Kiedy już od ciebie  
odejdę  
z zapomnieniem  
z przedawaniem nas  
wtedy popadamy  
konkretnie  
jak dwa stare chłopcy  
z drżeniem rąk  
bez drżenia serc

Zagubiłam się w kartotece żywych  
Zabłąkałam się w kartotece dot  
Nie mogę odnaleźć się na tym świecie  
I na tamtym świecie chyba nie ma mnie  
Więc gdzie ja jestem jeśli jestem w ogóle  
Czy może leżę w letargicznym śnie  
A może wiszę na granicy dwóch

Bojąc się spać pod ciężorem lasu

Izabella  
Mroczkowska

Zaparkowałam  
za rogami uczucia  
Najlepszej marki  
Zdumiona zakazem wjazdu  
przeszłam  
Jesienną aleją nie pojmując  
Dłaczego w kolorowych  
latawcach jesieni  
Dźwięk klaksonów słyszę

Każesz się kochać, siewać, wieść  
Czci wachodę Twojego Siośna  
Każesz każdą chwilę godnie przeżyć,  
Wyrwale czekać lasa.

Cóż mi po Hielach złotej jesieni,  
Cóż mi po ziemi chełczej zawitać.  
Na co mi lato barwaną się mienią,  
Po co mi wiosna umięjąca z serca

Gdy smutno wokół mojej duszy  
I z melancholią chce się bratać,  
Żadne uśmiechy... nie mnie nie warczą  
Bo ptakiem jestem, a nie umiem latać.

Kajet literacki

O snobach

W GRUNCIE rzeczy  
snob jest kibicem,  
więc czy należy ki-  
bica ośmieszać i wy-  
pędzać ze stadionu? Drugie  
pytanie, Czy w mieście tak-  
im jak Lublin są snobi?  
Trafią się szczególnie tacy  
z półlitrowką w kieszeni.  
— Słyszałem, że pan pisze  
felietony w „Kurierze” —  
zagadują.

Cała produkcja artystyczna,  
że tak nieskromnie powiem,  
jest mniej ważna, ale felieto-  
ny to już coś bardziej kon-  
kretnego.

Znam na przykład jedne-  
go pomocnika murarza, któ-  
ry doradza mi z całą powagą,  
o czym i jak mam pisać. Po  
sto razy przeprasza, że może  
wdepnął nie w porę, ale sie-  
dzi i doradza. Wpierw nawet  
myślałem że może sam coś  
tam pisze na boczkach, ale nie,  
nie w tym rzecz.

Raz nawet odwiedziła mnie  
jakaś pani w futrze. Spytala  
kolegę o adres i przyszła, a  
mnie akurat nie było w do-  
mu.

— Była u ciebie jakaś ko-  
bieta — mówi żona.  
— To wygląda intrygująco,  
skoro kobieta — mówię.

Potem kolega dorzucił  
garcie interesujących szczegó-  
łów. Gdy prowadził ją do  
mnie, ona nagle coś sobie

przypomniała i powiedziała  
mu tak:

— Tylko bez żadnych umiz-  
gów, proszę.

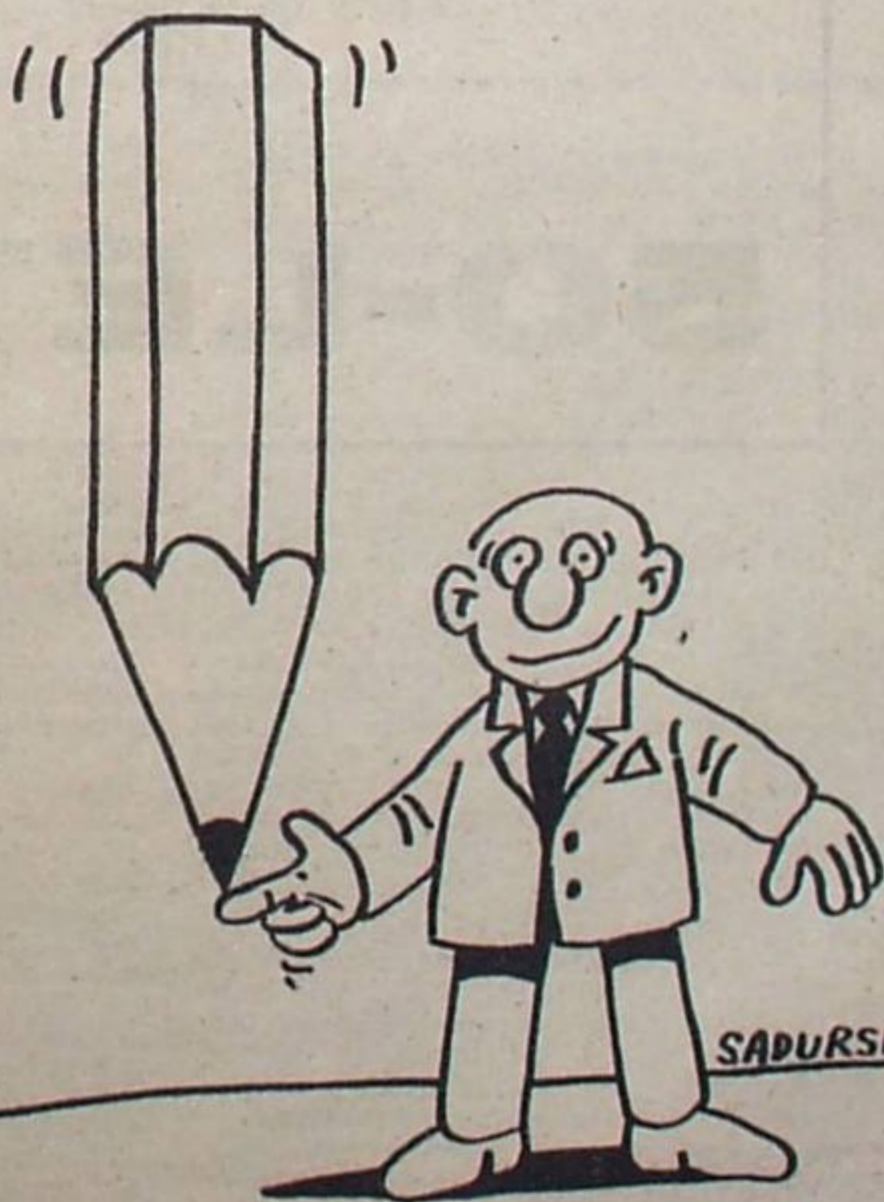
— Nie myślę o tym.

— Wszystkim tak się od  
razu wydaje.

Krótko mówiąc ciekawa  
interesantka. Tylko że refe-  
rent wyszedł akurat do ban-  
ku.

Zastanawiam się, czy słu-  
chaczy na wieczorach autor-  
skich można zaliczyć do sno-  
bów. Raczej są to ludzie za-  
błąkani w kulturę. Pobliska  
świetlica wywiesił afisz z na-  
zwiskiem i godziną rozpoczę-  
cia imprezy, więc czasem  
wpadnie ktoś po sąsiedzku.  
Siedzi i czeka cierpliwie, kie-  
dy się to wszystko skończy.  
Bardziej snobistycznym na-  
wykiem jest polowanie na  
autografy. Nagle twój podpis  
staje się ważny, bo oglądają  
go potem krewni i znajomi  
kolekcjonerzy. No i udowad-  
niasz czarno na białym, że  
nie jesteś niepisemny.

Czasami też snobi usilują  
być mecenasami. Ostatnio zja-  
wił się u mnie po autografy  
pewien przedsiębiorca budo-  
wlany. Można powiedzieć, że  
przyjechał na białym koniu  
z koniaczkiem, kwiatami dla  
żony i pudłem czekoladek dla  
córek. Rozgadaliśmy się przy



Rys. Szczeban Sadurski

koniaczku, a on nagle mówi  
tak:

— Powiadasz, Jasiu, że z  
pisaniny dużo nie wyciąg-  
niesz. Pożyczę ci milion, za-  
kładaj firmę.

— Coś ty, nie mam upraw-  
nień. Wprawdzie ćwierć wie-  
ku temu byłem pomocnikiem  
murarza i ganiałem brygadzi-  
ście po piwo, ale nie wię-  
cej z branży nie pamiętam.  
— Do tego, co ja robię, nie

potrzebą uprawnień. Ale po-  
wiedzmy inaczej. Założę fir-  
mę wydawniczą. Przynosisz  
koncesję i daję milion do ręk-  
i. No niech tam, dwa milio-  
ny ci dam.

— Ale skąd ja ci wytrza-  
ną koncesję?

— Zaraz ci wszystko wy-  
tłumaczę. Złożysz podanie w  
cechu rzemiosła różnych. Kwa-  
lifikację masz jako literat o-  
raz magister.

— Mam nawet dwuletni  
kurs dziennikarsko-edyto-  
rski, tylko...

— No wiesz, chłopie. Ale  
nawet tego nie musiałbyś  
mieć.

— ...tylko bez zaliczonych  
zajęć z korekty, bo fa-  
cet policzył moje nieobe-  
ności i doszedł do wniosku,  
że trzy razy byłem nieobecny  
bez usprawiedliwienia. Nie  
się natłumaczyłem, że syn mi  
się urodził i...

— ...i to jest male piwko,  
Magister i literat wystarczy.  
Słuchaj, co dalej. Z cechu  
rzemiosła różnych walisz do  
Wydziału Przemysłu i Han-  
dlu i wpłacasz sześć tysięcy  
złotych. Potem za koncesję  
rocznie bulisz głupie trzy  
stówki. Resztę zaliczam ja.  
Kupimy jakąś starą maszyna  
ne drukarską wycofaną na  
złom. Znam facetów w dwóch  
drukarniach, nie bój się nie.  
Z fabryki papieru też znam  
gościa na poziomie. Mój kumpel  
założył wytwórnię papieru  
na toaletowanego z odpadów  
tej fabryki. Wynajmiesz sob-  
bie jakąś suterene. Aby tylko  
był prąd i siła. I będziesz  
walił tak: raz sennik, raz  
tomik wierszy, raz tomik ra-  
złożecznictwa. I będziesz  
panem.

Przy koniaczku cały ten po-  
mysł wydał mi się genialny.  
Ale potem doszedłem do  
wniosku, że jest to materia-  
dobry na krótki felieton za-  
kopernika. Czasami wyda-  
je mi się po prostu, że to ja  
jestem największym snobem.

Janusz Olezak

Pięćdziesiąt lat, to dla większości kobiet smutnym wiekiem — seksownego i romantycznego lat trzydziście, zawodowego. A jednak nawet na sześćdziesiąt lat kobieta może żyć pełnią życia. Pisz o tym Anne Jeanblanc w tygodniku „Le Point”.

**K**OBIETY nie mają życia — mówi jeden z bohaterów filmów Sachy Guitry. — Są tylko młode i stare. Do których trzeba zaliczyć te, które zbliżają się do pięćdziesiątki? W tym wieku wszystko jest dla nich katastrofą: gorszy stan zdrowia, odejście dzieci „na swoje”, opieka nad sędziwymi rodzicami, a także widmo wcześniejszej emerytury. A mimo to świat żąda od nich, aby były nadal piękne i pełne życia.

Profesor socjologii, pani Veld, zadaje kłedy grupie studentów temat: Wyobraźcie sobie, jacy będziecie w wieku 50 lat? Chłopcy odpowiedzieli natychmiast: będą adwokatem, lekarzem lub przemysłowcem, jak mój ojciec. Dziewczęta oddały puste kartki. Czyżby kobieta 50-letnia była aż tak tajemnicza? W każdym razie nie ma ona nic wspólnego ze swymi siostrzycami z poprzednich pokoleń. Wbrew temu, co twierdzi Sacha Guitry, nie jest ani młoda, ani stara. „Jest bliższa rozkwitłej dojrzałości, niż byłaby dzisiaj kobieta trzydziestoletnia, opiewana przez Balzaca” — zapewnia dr David Elia, ginekolog, autor książki „Femme pour toujours” („Kobieta na zawsze”). Jej zdolności intelektualne pozostały nienaruszone, jej dyspozycyjność zawodowa jest nadal duża, a kondycja fizyczna bardzo dobra. Poza tym 50-letnia kobieta ma przed sobą (przeciętnie) 30 lat życia. Czyli więcej niż mężczyzna. Niemniej ten wiek stanowi jakiś przełom, okres niekiedy bardziej burzliwy niż etap dojrzwania, jak twierdzą specjaliści. Niemalże przyczynia się do tego strach przed starością, jak również towarzyszące mu zachwianie równowagi hormonalnej. Trzeba także wziąć pod uwagę obciążenia wynikające z utartych pojęć i niektórych tabu. W rezultacie wielu ludzi uważa, że 50 lat to dla kobiety próg „trzeciego wieku”.

Nic więc dziwnego, że kobiety źle przeżywają ten przełomowy okres. „Są za stare, aby móc zaliczać się do grupy młodych kobiet, a za młode, aby przylączyć się do katechorii osób starszych, zostają więc zepchnięte do getta, z którego poszukują wyjścia” — mówi Annie Vagogne, dziennikarka, dyrektorka francuskiego oddziału International Health Foundation, organizacji zajmującej się problemami tego wieku. W swej książce pt. „Reussir sa cinquantaine” („Dobrze przeżyć 50 lat”) Annie Vagogne przytacza przykłady. „Nie wiem, gdzie jest moje miejsce — skarży się Paule. — Mam wrażenie, że przechodzę ze świata aktorów do świata widzów. To tak, jakbym się nagle stała przezroczysta. Czuję się odrzucona ze wszystkich stron na obszar pozabawioną pić, wieku, definicji”.

Jak wynika z ankiety przeprowadzonej przez dr. Elia i Mutualite Française, kobiety odrzucają prezentowany im wizerunek tego etapu życia. Na apokaliptyczne opisy „pierwszej śmierci” reagują stwierdzeniem: „To dzieje się przede wszystkim w głowie. To jest kryzys, z którego kobieta może wyjść albo pokonana albo, przeciwnie, wzmocniona”. Oskarża się lekarzy i środki masowego przekazu: „Nie macie prawa dramatyzować, straszyć nas” — buntuje się Brigitte, sekretarka dyrektora przedsiębiorstwa. Ten sam bunt pojawia się w stosunku do społeczeństwa, które dostrzega tylko kobiety młode i matki małych dzieci, niezbyt pobłażliwe dla tych, które się starzeją. „Kobiety są bardzo rozgoryczone tym, że reklama i prasa ukazują tylko dalekocześnie dwudziestoletnie, szczupłe i szatańsko piękne” — stwierdza dr Elia.

Nawet kobiety wykonujące „eksponowane zawody” cierpią bardziej, gdy zbliżają się do pięćdziesiątki. Dla wszystkich jest to moment refleksji, niepewności, czas bilansu. Kobieta w tym wieku musi okazywać serce swemu otoczeniu, które często nie rozumie tego, co się z nią dzieje. „Menopauza jest niezłym wielką czarną dziurą. Nikt mnie nie rozumie, ani mąż, ani dzieci, ani nawet lekarz, skoro nie jestem chora” — skarży się Aline. „Nie wiem już, co mam zaproponować żonie — replikuje jej mąż Jean. — Gdy zapraszam ją do restauracji, myślę, że nie smakuje mi jej gotowanie. Gdy telefonuję do domu, aby uprzedzić, że się spóźnię, przypuszcza, że ją rzuca. A jeśli nie dzwoni, wyobraża sobie, że przejechał mi”.

38 proc. kobiet w wieku od 50 do 60 lat żyje samotnie. W przypadku kobiet zamężnych atmosfera małżeństwa zmienia się z chwilą odejścia dzieci. Małżeństwo po raz pierwszy od wielu lat pozostawione samo sobie albo się zbliża do siebie, albo się rozpada. Odejście dzieci jest dramatem zwłaszcza dla kobiet, które nie pracują. Powstaje wówczas uczucie pustki, bezżyteczności, osamotnienia.

Intelekt z kolei ewoluuje zależnie od aktywności, zwłaszcza zawodowej. Według niektórych danych, w roku 1983 pracowało zawodowo 53 proc. kobiet w wieku 46 lat, 57 proc. kobiet w wieku 49 lat i 59 proc. kobiet w wieku 55 lat. 70 proc. spośród nich pracowało w tym samym zakładzie pracy od przeszło 5 lat. „Jest to, być może, jeden z wielkich momentów życia zawodowego, kiedy kobiety są praktycznie zrównane w prawach z mężczyznami” — podkreśla Annie Vagogne. Te kobiety są dyspozycyjne, posiadają fachowe umiejętności, a więc mogą w pełni sprostać swym zadaniom.

Jednakże w okresie kryzysu ekonomicznego bardzo skwapliwie wysuwa się argument wieku. Na przedwczesną emeryturę odchodzą wówczas kobiety, które mogą jeszcze pracować i wszystko robią, aby utrzymać się w do-

Jak twierdzi dr Henri Rozenbaum ze szpitala Antoine-Beciere w Clamart, „48 proc. kobiet uważa, że przekwitanie jest początkiem starości”. A przecież prężność tego okresu jest bardzo różna zależnie od osobowości, środowiska rodzinnego i zawodowego. Niektóre kobiety bardzo się cieszą, że narazie pozbyły się menstruacji, i odwrotnie, te, które zawsze kojarzyły sobie płodność z kobiecością, czują się sfrustrowane. Dla nich życie seksualne nie będzie już nigdy takie, jak przedtem, a świadomość niepłodności staje się tym bardziej bolesna, że wiedzą, iż mąż czy kochanek jest jeszcze płodny.

Przeciętnie 20 do 30 proc. kobiet przechodzi ten etap bez specjalnych wstrząsów. Ale 50 proc. cierpi tak bardzo, że normalne życie staje się dla nich na pewien czas niemożliwe. Te różnice w przeżywaniu wieku przekwitania spowodowane są, zdaniem specjalistów, różnicami genetycznymi, a także wpływami środowiska, przy czym kobiety wykształcone i aktywne zdają się lepiej znosić dolegliwości — chyba, że ze względu na ambicjonalnych bardziej potrafią je ukrywać.

Nieznane są jeszcze przyczyny przekwitania. „Być może postępy medycyny stworzyły to zjawisko, zwiększając przeciętną długość życia” — sugeruje

ten przypadek nie przypisuje się temu takiemu samemu znaczeniu”.

Innym poważnym problemem dla kobiet w wieku przekwitania jest nadwaga. W tym okresie waga zwiększa się przeciętnie od 2 do 5 kilogramów, a niekiedy znacznie więcej. Jak wynika z niektórych badań, zaburzenia hormonalne powodują rozregulowanie działalności ośrodka zachowania się żywieniowego, potęgując uczucie głodu i zwiększając odkładanie się tłuszczu. Ale, jak mówi Annie Vagogne, „jedzenie jest również sposobem uspokajania się, rekompensowania strachu i zabijania czasu”.

„Każdy odgaduje, ile mam lat, po mojej twarzy i mam wrażenie, że moja osoba nie interesuje już nikogo” — zwierza się Marie. Zmienia się bowiem nie tylko sylwetka, ale i skóra.

„Gdy przeglądam się w lustrze, widzę, jaka jestem brzydka z tymi podkrążonymi oczami, szarą cerą i pomarszczoną twarzą. Ale jestem tak zmęczona, że nie mogę już zajmować się swoim wyglądem” — skarży się Lucie. To uczucie stałego wyczerpania i wielkiego znużenia jest, zdaniem dr Rozenbauma, typowym objawem przekwitania. „Zaburzenia psychiczne — precyzuje dr Rozenbaum — nie są specjalnie związane z niedoborem hormonów, ale potęgują dolegliwości”.

Depresja wieku przekwitania występuje zwłaszcza u kobiet, które już przedtem nie były idealnie zrównoważone psychicznie. „Jestem niezdolna dla otoczenia — przyznaje Aline. — Wybucham płaczem przy byle okazji i nie interesuję się już niczym”. Postanowiła więc „wziąć się w garść” i poddała się kuracji hormonalnej. Kuracja taka wyrównuje spadek wytwarzania hormonów i przywraca ich wskaźnik z okresu przed przekwitaniem. We Francji około 10 proc. kobiet w wieku od 50 do 64 lat stosuje tę kurację, która wprawdzie nie rozwiązuje wszystkich problemów, ale — jak utrzymuje dr Rozenbaum — stanowi cenną pomoc.

Dr Rozenbaum jest zwolennikiem kuracji hormonalnej także dlatego, że zapobiega ona osteoporozie, która przeobraża wiele kobiet w przygarbione staruszki o kruchych kościach. Jego zdaniem, każdy rok kuracji opóźnia wystąpienie osteoporozy: hormony nie powodują nawyku, zaś ich efekty utrzymują się długo. Można więc stosować tę kurację tak długo, jak życzy sobie pacjentka.

Jednakże dla wielu lekarzy przekwitanie jest zjawiskiem naturalnym, któremu nie należy się przeciwstawiać. „W tym wieku nie powinna się pani przejmować takimi rzeczami” — powiedział pewien lekarz 54-letniej pacjentki, która zwierzała mu się ze swych problemów seksualnych. W naszym społeczeństwie zbyt często jeszcze prowadzą się kobiety, które przekroczyły wiek rozrodczości, do roli babek nianujących wnuki. „A przecież w tym okresie życia seks powinien zamieniać się w czułość, zmienić zabarwienie” — podkreśla Annie Vagogne.

To jest oczywiste, przynajmniej teoretycznie. Ale w praktyce pani cierpi na skutek przekwitania, a pan przeżywa „drugą młodość”. Pani się starzeje, a pan czaruje siwizną na skroniach. Zresztą, jak wynika z niektórych badań, tylko 3 proc. kobiet w wieku 50 lat ma stosunki pozamałżeńskie, podczas gdy mężczyźni, mających uboższe kontakty, jest w tej grupie wieku 31 proc.

Dr Elia twierdzi jednak, że „kobiety zachowały o wiele więcej świeżości niż panowie i są bardziej zdolne do stosunków seksualnych niż mężczyźni, którzy często kapitulują lub potrzebują coraz młodszych kochanek, aby móc się podniecić”.

W każdym razie szczęście jest dostępne dla tych, które potrafią dobrze odciąć zakręt życia. „Ciało kobiety 50-letniej — mówi Annie Vagogne — nie ma już blasku ani świeżości wieku młodzieńczego, ale posiada słodką i ciepłą ciąża, które cierpiało, kochało, dawało i otrzymywało czułość, miłość i przyjaźń. Takie ciało może utrzymać się w doskonałej formie, jeśli chcemy zadać sobie trochę trudu”. Duch zaś, wzbogacony przez doświadczenie i pobudzony przez ciekawość, może także oprzeć się działaniu czasu. „Dla każdego, kto umie patrzeć na widowisko świata — pisze Marguerite Yourcenar — pory roku następują po sobie łagodnie, niż można sobie wyobrazić, nie przeciwstawiając się sobie wzajemnie, tak jak nie powinny się przeciwstawiać sobie nasza młodość i dojrzałość”.

# KOBIETA



# 50-LETNIA

brej kondycji. To wywołuje dodatkowy lęk. Pozostają dwie możliwości: próba przekwalifikowania się, przy czym trzeba sobie uświadomić, że możliwości znalezienia zatrudnienia w wieku 50 lat są ograniczone; albo też przystąpienie do jakiegoś stowarzyszenia, znalezienie innych zajęć (co, oczywiście, jest możliwe tylko w warunkach niezależności finansowej). Ale wszystko jest lepsze od bezczynności, nudy, które są tak groźnymi wrogami...

W niektórych społeczeństwach 50 lat to dla kobiety okres rozkwitu. W indyjskich plemionach Radzastanu, jak również wśród muzulmanów, kobiety w wieku przekwitania mogą zrezygnować z noszenia zastony. Ten etap nie ma więc żadnego negatywnego wpływu na ich życie. Na Zachodzie natomiast sprawa ta jest nadal tabu, czymś niemal wstydlivym. Jak mówi dr Elia, ogół wyobraża sobie kobietę w wieku przekwitania jako „coś”, co zastępuje i a nienawidzi. Ludzie widzą w niej „brodata, wąsatą i zgryźliwą babę, która w najlepszym razie pasjonuje się kotami”. W tej sytuacji nie trudno zrozumieć reakcję pielęgnarki Julie, która mówi: „Gdy skończyłam 50 lat, wydało mi się nagłe, że moje życie przypomina płaski elektrokardiogram. Chciałam, żeby coś się jeszcze wzniosło w górę, ale nie wiedziałam, jak to osiągnąć”.

dr Rozenbaum. W każdym razie w Europie okres przekwitania u kobiet zaczyna się przeciętnie w wieku 50—52 lat, przy czym nie ma to związku z wiekiem dojrzwania, ani też z częstotliwością porodów czy stosowaniem środków antykoncepcyjnych. Dr Rozenbaum zwraca jednak uwagę, że stan cywilny może mieć na to wpływ. Spośród kobiet, które wcześniej zaczęły przekwitać, 50 proc. stanowią kobiety samotne. Na wcześniejsze przekwitanie mogą również oddziaływać takie czynniki, jak nałogowe palenie papierosów lub wstrząsy psychiczne.

Przekwitanie kojarzy się przede wszystkim z „uderzeniami do głowy”. Niektóre kobiety mają od 30 do 30 uderzeń do głowy w ciągu doby. Są to objawy nieszkodliwe, ale tak uciążliwe i deprymujące, że niektóre kobiety boją się w tym okresie w ogóle wychodzić z domu.

Mechanizm tego zjawiska nie jest dokładnie znany. Zapewne chodzi tutaj o zakłócenie pracy ośrodka mózgowego, który reguluje temperaturę. Ale emocje i stresy zwiększają intensywność tych dolegliwości. „W każdym razie nie wchodzi tutaj w grę wyłącznie czynnik hormonalny, skoro także mężczyźni mają uderzenia do głowy, np. po otrzymaniu nie dobrej wiadomości lub zbyt obficie zakrapianym posiłku” — mówi dr Elia. — Ale oczywiście w



## „Bitwa o Moskwę”

**P**IERWSZOPLANOWĄ pozycją tegorocznych, tradycyjnie — listopadowych, Dni Filmu Radzieckiego była w Lublinie filmowa epopeja wojenna Jurija Ozierowa „Bitwa o Moskwę”, nakręcona z ogromnym rozmachem, z wykorzystaniem imponujących środków, opowieść o pierwszej, wielkiej, kilkumiesięcznej bitwie II wojny światowej, w której wyniku wojska niemieckie poniosły też pierwszą wielką klęskę. Wprawdzie punktem zwrotnym w historii II wojny światowej stała się dopiero klęska Niemców pod Stalingradem, ale tutaj, pod Moskwą, zakończył się odwrót wojsk radzieckich, tutaj nastąpiła zdecydowana radziecka kontrofensywa: Niemcy zostali odrzuceni 250 kilometrów na zachód. Co więcej, pod Moskwą poniósł klęskę niemiecki plan „wojny błyskawicznej”.

Temat wojenny — obrona przed hitlerowską agresją — jest wciąż aktualny w radzieckiej kinematografii, a w miarę upływu lat kolejne pokolenia filmowców spoglądają na wydarzenia Wielkiej Wojny Ojczyźnianej coraz bardziej wnikliwie, z coraz szerszej perspektywy. Przedstawiano wojnę w tych filmach z punktu widzenia jednostki i punktu widzenia umęczonej, napadniętej społeczności; w „dokumencie” i w „fabule”; w sposób realistyczny, liryczny, patetyczny, „rozliczeniowy”.

Sześć lat zabrała Ozierowowi praca nad „Bitwą o Moskwę”; z tego aż cztery lata poświęcił na zbieranie dokumentacji historycznej, pisanie scenariusza i przygotowywanie scenopisu. Dwa lata trwało kręcenie filmu. Wszystkie postacie występujące w „Bitwie o Moskwę”, poczynając od ról epizodycznych, przedstawiają osoby autentyczne; rozmowy, sytuacje, dyskusje wyższych dowódców i polityków odtworzone zostały na podstawie ustnych relacji żyjących jeszcze świadków tamtych wydarzeń, wzięte z literatury wspomnieniowej czy z oficjalnych ówczesnych protokołów i zapisów stenograficznych. Ogrom pracy dokumentacyjnej był tym większy, że pod tytułem: „Bitwa o Moskwę” Jurij Ozierow zawarł, w istocie, temat o wiele szerszy. Sledzi on bowiem zmagania wojenne obu walczących ze sobą wojsk już od chwili napaści Niemiec na Związek Radziecki, to znaczy od 22 czerwca 1941 r.

W ten sposób „Bitwa o Moskwę” staje się wielkim freskiem wojennym, opowiadającym najpierw o zaskoczeniu militarnym ze strony Niemców i kilkumiesięcznym odrocie wojsk radzieckich, następnie o stałej konsolidacji tych wojsk, opanowywaniu poczucia własnej niemości (zarówno „w linii”, jak i w sztabach), aż wreszcie o przejęciu inicjatywy przez stronę radziecką.

Ogrom moskiewskiej operacji, a — co za tym idzie — pracę, jaką miał przed sobą Ozierow, przystępując do ukazania „Bitwy o Moskwę”, uzmysłowimy sobie wyraźniej na podstawie garści liczb i faktów.

Oto w końcu września 1941 r. idąca na Moskwę Grupa Armii „Mitte” pod dowództwem feldmarszałka von Bocka składała się z około 77 dywizji; w tym 14 dywizji pancernych i 8 zmotoryzowanych. Do walki stanęło po stronie niemieckiej



łącznie milion żołnierzy, mających do pomocy — poza inną bronią — 1700 czołgów oraz 9450 dział i moździerzy. Natarcie GA „Mitte” wspierała 2 Flota powietrzna, licząca 950 samolotów. Po zaciętych walkach w rejonie Rżewa, Wiaźmy i Briańska wojska niemieckie parły w kierunku Moskwy.

Sytuacja zaczęła ulegać zmianie, gdy po reorganizacji w łonie dowództwa radzieckich frontów broniących Moskwę oraz reorganizacji samych frontów, dowódcą Frontu Zachodniego został generał Gieorgij Żukow. Pod koniec października niemiecka ofensywa została zatrzymana. 16 listopada 1941 r. Niemcy wznowili ofensywę, nacierając wojskami pancernymi wzdłuż szos Moskwa — Leningrad i Moskwa — Wołokolamsk. Nawiasem mówiąc — boje o „szosę wołokolamską” znalazły literackie odbicie w doskonałej książce Aleksandra Beka pod tym właśnie tytułem. Walczyła tam bohaterstwo 316 dywizji piechoty pod dowództwem generała Panfilowa; jego postać występuje również w filmie Jurija Ozierowa.

Niemcy znaleźli się w odległości 30—40 kilometrów od Moskwy, ale nie zdołali pójść już ani kroku dalej. Ich ostatnia ofensywa, podjęta na początku grudnia 1941 r., załamała się. Od połowy października do połowy grudnia Niemcy stracili 55 000 zabitych oraz ponad 100 000 rannych, nie mówiąc już o setkach rozbitych lub spalonych czołgów, straconych dział i samolotów. Dramatyzm sytuacji potęgowały jeszcze niezwykle surowe mrozy. Rozpoczęta 5 grudnia kontrofensywa radzieckich wojsk zmusiła wojska niemieckie do odwrotu, aż na pozycje znajdujące się 250 kilometrów na zachód od Moskwy.

Jurij Ozierow, przystępując do realizacji „Bitwy o Moskwę”, postawił na historię tej wielomiesięcznej, gigantycznej batalii. Konsekwencją takiego założenia było odejście od typowej „fabuły”, pełnej dramatycznych spięć i następujących po sobie, w porządku linearnym, wydarzeń, na

rzecz — paradoksalnego widowiska „teatru faktu” na kinowym ekranie, w rodzaju na przykład telewizyjnego polskiego serialu „Przed burzą” Romana Wionczka. W ten sposób Ozierow zagwarantował sobie swobodę manewru: możliwość poruszania się z kamerą z miejsca na miejsce; nagłego przerzucania... szerszej linii walczących wojsk do gabinetów i sal konferencyjnych Kremia czy też kwater dowództwa wojsk niemieckich.

Trzeba przy tym podkreślić, że Ozierowa interesują nie tylko daty; spogląda on także na odwrotną stronę kalendarzowych kartek: ukazuje nie tylko fakty, ale i procesy, jakie stały u podłoża niektórych porażek czy klęsk armii radzieckiej w pierwszej fazie wojny — bezkrytyczna wiara we własne siły, lekceważenie pracującego ku agresji przeciwnika oskarżanie w końcu lat trzydziestych o „defetyzm” wybitnych radzieckich dowódców i skazywanie ich na podstawie bezzasadnych oskarżeń.

„Bitwa o Moskwę” to między innymi również ukazanie w pełnym świetle sylwetki Żukowa — jako wybitnego stratega, jako człowieka potrafiącego zachować własne zdanie i własną twarz, spoglądającego prosto w oczy, także — Stalinowi. Ów przejmujący wizerunek Gieorgija Żukowa jest w ogromnej mierze zasługą odtwórcy tej postaci, kapitalnego w owej roli Michaila Ulianowa.

„Bitwa o Moskwę” jest filmem, który powinien zobaczyć każdy, szczególnie zaś ci, którzy interesują się historią II wojny światowej. Ale nawet oni muszą pamiętać, że całość filmu trwa około sześciu godzin i oglądanie „jednym ciągiem” obydwu części (a w ten właśnie sposób „Bitwa o Moskwę” była prezentowana w lubelskim kinie „Kosmos”) nawet dla największych miłośników historii najnowszej jest zbyt wyczerpujące.

M.D.

## Nina Wysocka:

### „Mój syn Wołodia”

**M**IAŁ być inżynierem. Tak postanowiła cała rodzina. Z ogromnymi oporami podporządkował się tej decyzji, choć niemal od dzieciństwa marzył o karierze aktorskiej. Przez pół roku męczył się nad wykresami i obliczeniami. Wreszcie pewnego dnia oświadczył: „Ja jednak będę aktorem” i zaczął przygotowywać się do egzaminu do szkoły teatralnej. Egzamin był trudny, a najcięższe zastrzeżenia pedagogów budził jego chryplawy głos...

Na łamach tygodnika „Ogoniok” ukazał się obszerny wywiad z matką Władimira Wysockiego, która opowiada zarówno o życiu swego syna, jak i okolicznościach jego przedwczesnej śmierci.

— Był niewątpliwie dobrym aktorem, ale jego żywiołem i właściwym środkiem artystycznej wypowiedzi stała się piosenka — mówi Nina Maksymowna — albo, jak powiadają niektórzy, jego śpiewana poezja. Te właśnie piosenki stanowią przedłużenie jego życia. Byłam pierwszą słuchaczką tych wszystkich jego utworów. Drugą była Marina Vlady, jego żona, choć znajdowała się o tysiące kilometrów od niego. Rachunki za jego rozmowy z Paryżem, a ściślej mówiąc, za „telefoniczne koncerty” wprost mnie przerażały, ale on się tym wcale nie przejmował. „Mamo, forszę po to się zarabia — mówił — aby ją wydawać”. Strasznie się denerwował, czekając na połączenie, i tak właśnie powstała słynna jego piosenka „07”. Potem tele-

fonistki od razu go poznawały i stawały się jak najszybciej połączyć z Paryżem, bo same były ciekawe, co nowego ułożył.

Pracował najchętniej w nocy i w ogóle uważał, że spanie to po prostu strata czasu. Jego ulubionym i śmiesznym powiedzeniem było: „Trzeba zasnąć, zasnąć”. Oczywiście, to nieludzkie tempo pracy musiało zrobić swoje. A trzeba przy tym wiedzieć, że od dzieciństwa miał kłopoty z sercem — niedomykalność zastawek. Czy wiedział o tym? Wiedział, ale nie zwracał na to uwagi. Na kilka dni przed śmiercią los jakby go ostrzegł... „Jechał z przyjaciółmi samochodem, nagle zrobiło mu się słabo, zbladł, ręce stały się mokre, zrozumiał, że to serce. I mimo to pracował dalej. W dodatku miał wrzód dwunastnicy i też nie chciał się leczyć. Wreszcie wpakowaliśmy go do szpitala. Poleżał tam zaledwie dwa tygodnie i to tylko dlatego, że była niemal stała przy nim Marina, która przyniosła mu najnowsze leki. Dwunastnicę podleczone, ale serce wkrótce przestało bić...”

Cieszę się, kiedy teraz widzę liczne wydania wierszy Wołodii, płyty z jego nagraniami, ale za życia nie miał zbyt wiele szczęścia do wydawców. Pamiętam jego rozmowę telefoniczną z jakąś redakcją, gdzie odmówiono mu publikacji utworów. „No, cóż, to przepraszam” — powiedział, odkładając słuchawkę. Potem podszedł do okna, postąpił chwilę w milczeniu i nagle odwrócił się do mnie: „A jednak będą mnie drukować, chociażby i po śmierci, ale będą!”

(ek)

## Graham Greene w ZSRR

**N**A zaproszenie Związku Pisarzy ZSRR przebywał w Moskwie Graham Greene, który odbył szereg spotkań z czytelnikami, m. in. ze studentami największej radzieckiej uczelni — Uniwersytetu im. Lomonosowa. Fragmenty wystąpienia Greene'a w tym wielkim środowisku młodzieżowym publikuje „Sowietskaja Kultura”:

Często mnie proszą, abym podzielił się moimi poglądami na temat młodego pokolenia. Sądzę, że straciłem już kontakt z młodzieżą. 82 lata — to wiek poważny, nawet mój syn niedawno skończył pięćdziesiątkę... Z pewnością i mój bohaterowie zastarli się wraz ze mną. Nie wiem więc, czy wyrażają oni myśli i marzenia współczesnego młodego człowieka. Mogę tylko z całym przekonaniem powiedzieć, że byli przedstawicielami swojego pokolenia. Dziś nie mógłbym już napisać książki o człowieku 25-letnim. Tak jak nie mógłbym pisać o wojnie, w której nie uczestniczyłem. Pisarz musi być świadkiem opisywanych przez siebie wydarzeń. Od tego bezpośrednio zależy stopień wiarygodności tego, o czym się pisze. Często podkreślam, jak ważne jest umietycznienie akcji powieści w czasach, w których się samemu żyje. Staje się ona wówczas swego rodzaju dokumentem epoki.

(gk)

# Srebrne годы z Filharmonia

Dokończenie ze str. 1

— Gdyby przyszło panu, to kilku gadaniach podać zasadnicze różnice w działalności Filharmonii Lubelskiej przed dwudziestu laty i teraz, na co zwróciłby pan najwięcej uwagi?

— Przeszedłem do instytucji o bardzo dudy tradycjach. Przecież jako pierwsza po drugiej wojnie światowej odrodziła się w bardzo skromnych warunkach. Moi poprzednicy pracowali w wyjątkowo niekorzystnym okresie, chociażby biorąc pod uwagę ludzi, których mieli do dyspozycji. Obecnie nie ma w orkiestrze ludzi przypadkowo wykonujących swój zawód. Znacznie podniosła się ich kwalifikacja. Proszę zauważyć, że teraz prawie wszyscy są po wyższych studiach muzycznych. Znacznie podniosła się ranga zawodu muzyka orkiestrowego. Jak się ma lat kilkanaście, to można zostać laureatem i nagrody międzynarodowego konkursu. Ale może to być osobowość, w sensie dyscypliny, zupełnie nieprzystająca w kameralistyce, ani w orkiestrze.

Wcale nie jest pewnie, czy słuchając tria fortej nowego, złożonego, dajmy na to, z Casals, Menuhina i Rubinsteina z okresu ich świetności, byliśmy zachwyceni wykonawstwem. A wielokrotniona kameralistyka to jest dopiero zespół orkiestrowy, w którym można nauczyć się artykulacji, porządku, podzielności uwagi, wspólnego muzykowania czego w solistyce się nie zdobędzie. Muszę powiedzieć, że znam wielu wybitnych solistów na świecie, których nie przyjąłbym do swojej orkiestry.

— Nawet przy ogromnych brakach niektórych instrumentów?

— To fakt, że brak mi smyczków. Ale kiedy po studiach próbuje się grać dorywczo, a później w wieku 35 lat szuka się pewnej stabilizacji i chce się być związanym z jakąś instytucją, to należy być przygotowanym na to, iż trzeba będzie usiąść przy ostatnim pulpicie i przez następne cztery lata uczyć się liczyć takty. Do tego dochodzi sfrustrowanie i kompleksy. Jeśli więc

nie ma się szansa i warunków do dalszego samokształcenia, to trzeba zdecydować się od razu. To fakt, że każdy medal ma dwie strony, więc i praca w orkiestrze nie jest dla muzyka najlepszym rozwiązaniem. Ora wyłącznie w orkiestrze, bez bieżącej samokontroli, dewastuje aparat wykonawczy. Stąd też duża liczba zespołów kameralnych w Lublinie...

— Co nas na mapie muzycznej w Polsce wyróżnia.

— Patronuję temu zjawisku z dużą miłością i zainteresowaniem.

— Lecz czy to trochę nie dezorganizuje panu pracy?

— Wręcz przeciwnie. Łatwiej pracuje mi się z ludźmi na płaszczyźnie partnerstwa, a takimi są ci, którzy podnoszą swój poziom poprzez autodydaktykę. Im to także daje większą satysfakcję zawodową dzięki możliwości częstszego zaprezentowania się w różnych środowiskach, z zagranicą włącznie. I to jest dla mnie ważne, bo mniej mam wyrzutów sumienia, nie wyrażając zgody na dłuższe kontrakty, co miało miejsce ostatnio. Artyści polscy są cenieni za granicą. Muzycy z mojej orkiestry pracowali i pracują w Meksyku, Holandii, Iranie, RFN, krajach skandynawskich, jeden nawet w RPA. Prywatnie ja ich rozumiem, jako pan Natanek, natomiast jako dyrektor muszę dbać o interes firmy i nie mo-

gę doprowadzić do zakłócenia pewnych proporcji.

— A czy pan, jako artysta, nie miał ochoty na dłuższy wyjazd?

— Muszę powiedzieć, że miałem wiele propozycji. Ale jak z urodzenia i wykształcenia jestem krakowianinem, tak ze świadomego wyboru lublinianinem. Tutaj zorganizowałem sobie życie osobiste i zawodowe. Na to złożyła się wiele spraw. Lublin jest bardzo interesującym ośrodkiem. Miałem o tradycjach uniwersyteckich. To duża satysfakcja, jeśli po jakimś czasie swojego pobytu pozostawi się znaczący ślad.

— Nie ma pan żalu, że jest pan niedoceniany w środowisku?

— Jeśli jakimś słuchaczem w Lublinie nie odpowiada tutejsza orkiestra, to mają jeszcze do wyboru orkiestrę Barszaja, czy też Radia i Telewizji Francuskiej. Ale oni w ogóle nie przychodzą. Może są to ludzie mający duże aspiracje, które zostały zweryfikowane przez życie, i w związku z tym ciągle mają na usłach modny przedrostek: nie! Nazywam tę postawę snobizmem w konserwie. Najgorszy jest pacjent, który przed wizytą u lekarza zaczyna studiować różne książki i doskonale wie, co mu dolega. To sama dzieje się z ludźmi, którzy coś tam słyszeli, coś widzieli i później porównują. Trzeba zdawać sobie sprawę, że



## Meksyk w sali koncertowej

**G**UADELUPE PARRONDO dziennikarz z „New York Times” napisał po jej recitalu w Carnegie Hall: „Jest świetną pianistką. Jej technika i muzykalność dorównywały poziomem utworom, jakie grała”. Inne głosy były również entuzjastyczne.

Ta meksykańska pianistka — po ukończeniu z wyróżnieniem studiów w paryskiej Ecole Normal Supérieure de Musique u prof. B. B. de Gueraldi w 1968 roku — odnosiła sukcesy na międzynarodowych konkursach. Wystarczy wspomnieć o pierwszych nagrodach w Barcelonie w 1970 roku (konkurs im. Marii Canals), w Genewie w 1972 r. czy w Caracas w 1974 (konkurs im. Teresy Carreno).

3 i 4 listopada wystąpiła w Filharmonii Lubelskiej z towarzyszącą jej orkiestrą pod dyktando Adama Natanka. Parrondo nie ma w zasadzie swoich ulubionych utworów czy też kompozytorów. Na recitalach i koncertach prezentuje najróżniejszą muzykę. Dla Lu-

blina wybrała II Koncert c-moll op. 18 Sergiusza Rachmaninowa. Jak sama stwierdziła, bez żadnych dla kompozytora sentymentów, lecz publiczność zgromadzona na sali mogła na własne uszy przekonać się o dość osobistym stosunku pianistki do Rachmaninowa. Koncert jest bowiem utworem na tyle sławnym, by można było bez zbytej znajomości zasad muzyki ocenić specyficzną wirtuozerię meksykańskiej artystki. Dramatyczna w partalach solowych, znakomicie tworzyła liryczny nastrój w partnerstwie z innymi instrumentami.

Guadelupe Parrondo występowała także w Warszawie i Bydgoszczy, grając recitale złożone z utworów Mozarta, Schumanna, Ravela, Bartoka. Mając namiastkę w postaci solowego bisu na lubelskiej estradzie, możemy tylko żałować, że nie dane nam było usłyszeć więcej muzyki w wykonaniu pianistki tej miary.

(fil)

## Z bocznej łoży

### Proste ludzkie uciechy...

**G**DZIES z końcem października zmuszono mnie w redakcji do odbycia niewielkiej rozmówki na temat pisania o teatrze, dokładnie zaś mówiąc — mojego pisania o dokonaniach Teatru im. Osterwy. Zmieszano mnie sterą zarzutów rozmaitej miary i wagi, co nie wazy, oczywiście, że zupełnie słusznych. Wytknięto moją nieżyczliwość i agresywność, pochopność w formułowaniu sądów, zdecydowaną rozbieżność opinii moich i Kolegów Recenzentów z lubelskich gazet codziennych, powołując się przy tym na tzw. trudną sytuację teatru i kultury w ogóle, nastroje środowiskowe i różne jeszcze takie... Słowem przypisano mi co najmniej siedem grzechów głównych. Na pewno były: pycha, chciwość, nieczystość (mówi intencji), nieumiarowanie, złość, lenistwo i może coś jeszcze, ale nie pamiętam.

Rozważałam w pokorze wszystkie te przynawki i „okoliczności”. Worek pokutny na siebie i podreptałam na przedstawienie „Białego małżeństwa” Różewicza w Teatrze im. Osterwy, w reżyserii Andrzeja Rozhina.

„Białego małżeństwa” nie znoszę szczerze. Jest to najbardziej płytki, najslabszy dramat Różewicza, zwłaszcza jeśli ustawimy go obok „Pułapki”, „Kae-

toteki” czy „Do piachu”. Emocjonalne zaślepienie w stosunku do tekstu (pewnie kulturowe, ale niekiedy) nie może, rzecz jasna, ułatwić oglądu przedstawienia. Ale też... nie, nie. Zadnego nie miała wpływu na wykoślawienie mojej oceny samego spektaklu. A to głównie z powodu wszystkiego, co wyżej.

Otoż mając w pamięci przykazaną konieczność powstrzymywania się od agresywności i od wyrażania nieżyczliwych opinii, postanowiłam zacząć od prostych i na pozór nawet głupawych pytań, które, zresztą, stawiam zawsze, nawet jeśli przedstawienia nie bywają tych pytań warte. Zatem: dlaczego właśnie ta sztuka teraz, w tym teatrze? Co to dzisiaj znaczy? Dlaczego w takiej scenografii i obsadzie? Dlaczego ten aktor jest w takim kostiumie, a ta właśnie aktorka w ogóle bez kostiumu? Dlaczego ludzie przychodzą na to? Dlaczego mamy to oglądać? O co chodzi? O nic? Na miłość boską, dlaczego o nic?

Nie mogłam w czasie przedstawienia znaleźć na te pytania żadnej jasnej, sensownej odpowiedzi, aż do chwili, gdy znalazłszy się już przy szatni, usłyszałam, jak starszy pan rzekł do drugiego starszego pana:

— No, nieźle, nieźle było... tylko dlaczego teraz te dziewczyny mają guziki zamiast biustów, i po cóż takie się rozbiiorają.

Różewicza spotyka wcale nierzadko, że staje się pastwą teatru. Uogólniany, metaforyzowany, zamazywany, trafia do widza w postaci cienkiej, rozwodnionej zupki, przyprawianej tzw. „numerami”. W przypadku „Białego małżeństwa” ulęwałpliwe słabości sztuki jeszcze temu sprzyjają.

Właśnie próba zmetaforyzowania (niestety, tylko pozornego) jest, jak się wydaje, główną zasadą istnienia tego spektaklu, ma temu służyć przede wszystkim scenografia. Nad sceną obwisają szare, szmaciane strzepy, o jakie przez parę lat ocierałam się w teatrze Leszka Mądziaka. Widok czegoś podobnego na innej scenie od razu wydaje mi się czymś niewłaściwym. W głębi sceny panieński pokój w bieli: łóżka, lampy, parawany. W pierwszym planie — jakiś stół, fotel, krzesła, kanapa. Tu dzieją się sceny „salonowe”, „ogrodowe”, ale także „konfesyonalowe”. Pomiędzy tym wszystkim biegają nagle bądź na wpół nagle dziewczyny, male, drobne, niepozorne. Czy to może owe Różewiczowskie kobiety pragnące się wyzwolić z pułapki własnego ciała?

Poza tym na scenie odbywa się jeszcze obyczajowa sztuka o problemach dorastających panienek: Bianki i Pauliny, w mieszczańskim rodzinie, gdzie życie ludzkie składa się z chuci i porcelanowych serwisów. Wszystko to urozmaicone zostało muzyką Andrzeja Żaryckiego, nieco agresywną, bardziej działającą na wyobraźnię niż wszystkie zdarzenia na scenie.

Sztuka Różewicza niesie myśli niezbyt istotne i niezbyt głębokie, to prawda. W Teatrze im. Osterwy oglądamy „czytanekę z panieńskiego pokoju”, tyle, że chwilami wulgarna, co natychmiast wytapuje widownię, zaśmieiwając się ucieszenie. Ach, więc może wszystko to ma jakiś sens, skoro daje prostą uciechę niewybrednej widowni? To by było nawet w normie!

Lidia Wójcik

Filharmonia Lubelska, to nie Narodowa, z kolei gdy pojedziemy do Narodowej, to na pewno nie jest Clevelandka itd. Natomiast minęły już czasy dziewiętnastowiecznego myślenia typu: Paryż i reszta prowincja, Petersburg i reszta prowincja, Warszawa i reszta prowincja. Życie poszło do przodu, Paryż już dawno przestał być kulturalną stolicą świata, żyje na kredyt przeszłości.

— A sztuka pozostała workiem, do którego zmieści się wszystko.

— No właśnie, jeśli czyta pani w „Ruchu Muzycznym” wiadomości sprzed 50 lat, to wie pani, co przeżywał biedny Rubinstein, czy Szymanowski, Andrzej Kułka, którego w Polsce sklasyfikowano na czternastym miejscu, pojechał do Monachium, w naszym zastępstwie, na co wybrzydzał nasi profesjonalisci. Pojechał, zagrał, publiczność wstawała, jury wstawało i już był sławny.

— Po czterdziestu pięciu latach pracy otwierasz się przed panem szansa: drzwi do wielkiej sali liczącej ponad tysiąc miejsc w budowanym właśnie gmachu teatru. Czy nie boisz się pan przyszłości? Wiąże się to przecież z większą odpowiedzialnością i za wykonawców, i za publiczność.

— Kiedy przyszedłem do Lublina, tutajteż Filharmonia miała salę zupełnie nie przystosowaną do dawania koncertów. Przebudowaliśmy ją i zamienili się w coś w rodzaju muzycznego salonu. Ale nadal pozostała jed-

ną, z mniejszych, sal koncertowych w Polsce. A warunków akustycznych to jest 50 procent powodzenia, o ile nie więcej. Dotyczy to pewnych, przypiętych brzmieniowych architektoniki i plastyczności brzmienia. Grałiśmy w różnych salach. Te największe, dawały nam nawet przewagę nad innymi zespołami. Cała masa szczegółów staje się wtedy niezauważalna. Natomiast tutaj zbyt bliski kontakt z publicznością powoduje selektywność odbioru. Trzeba się dostrajać do trudnych warunków, co pogarsza jakość. Słowem, im lepsza sala, tym lepsze wykonanie. O publiczność też się nie boję. Prowincja ma czasem swoje dobre strony. Obecnie obserwuję się zanik życia twórczego. Nawet w filharmonii słuchacze przebywają tranzytem, zostawiając w szatni siatki z zakupami. Nowa filharmonia będzie dla tej społeczności również miejscem spotkań twórczych z prawdziwego zdarzenia, wyposażonym w wspaniałą salę, foyer i kawiarnię. Wyjście na koncert trzeba będzie zaplanować, ubrać się w nową toaletę. Dla kobiet jest przecież szalenie ważne, by mieć okazję do włożenia wizytowej sukni. Szarzejemy i potrzebujemy inności. Na tej zasadzie istnieje, na przykład, festiwalomania. Pamiętajmy, że w XIX wieku snobizm doprowadził do rozkwitu kultury!

Rozmawiała:  
Irena Filus

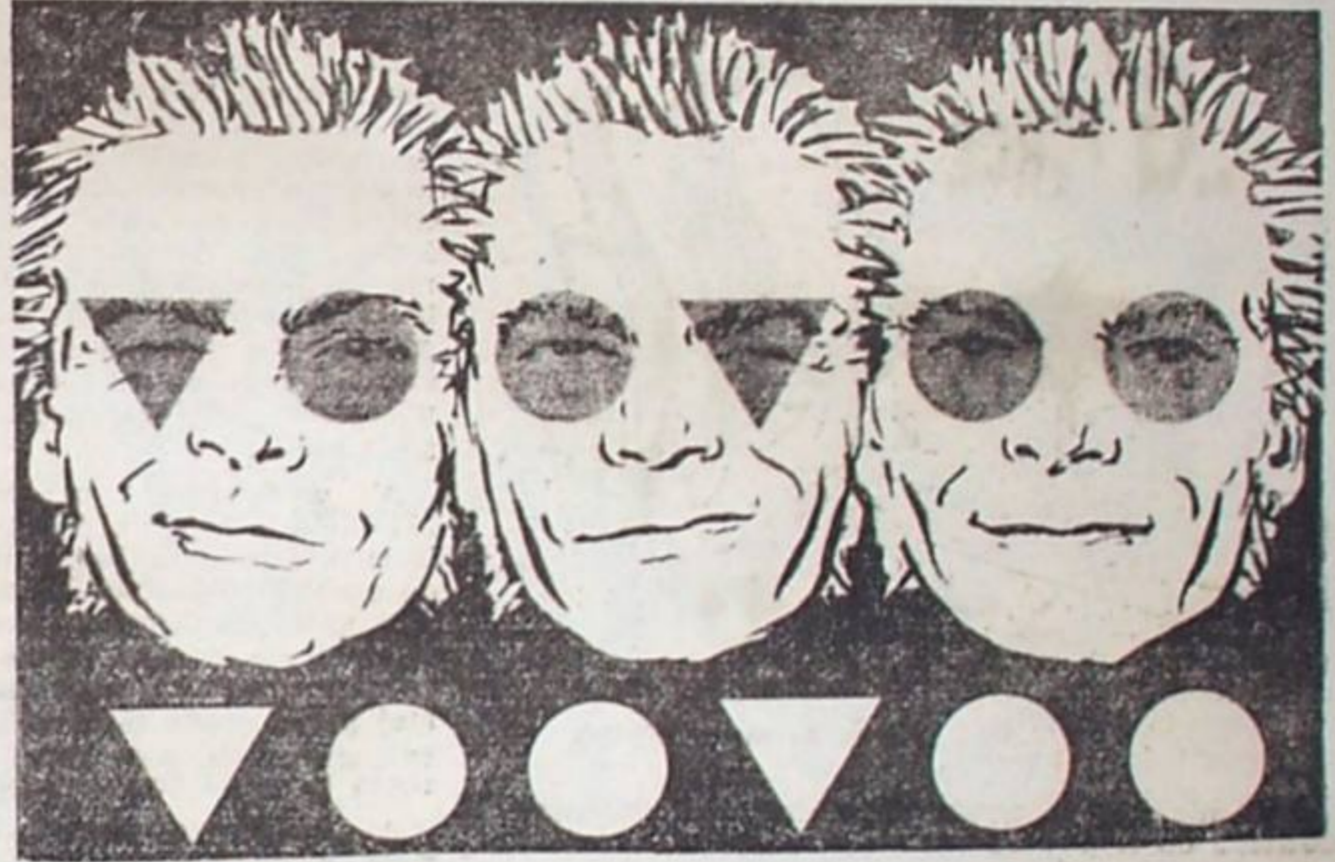
## Muzyka młodzieżowa

### Voo Voo czyli... w aglewski wspaniali

**P**RAWDZIWE zjawiska artystyczne nie wymagają krzykliwej reklamy. Wręcz przeciwnie, wybraniają się swym poziomem. Nie dziwię się przecie ciszy wokół rewelacyjnego zespołu Voo Voo. Prędzej czy później zamoczą on swą dominację w kręgach twórców i odtwórców rocka. Prawdę mówiąc, czekałem długo na taki zespół, który omijałby dawno wyłobione koleiny, nie podszycił się pod zwietrzałe manifesty i programy. Voo Voo nie łączywa swojej muzyki. Nie czuje takiej potrzeby, a w dodatku jest to muzyka trudna do jednoznacznego zdefiniowania. Niby rozbrzmiewająca rockowym rytmem, a jednak skomplikowana skalowo, nijak nie przystająca do modnych obecnie stylów. Muzyka trochę nostalgiczna, tworzona emocjonalnie, edulująca się do pytań o sens ludzkiej egzystencji. Piosenki comba Voo Voo można nie mają szans dotrzeć na szczyty list przebojów, ale nie były one tworzone z myślą o marketingu. Zawarł w nich twórca własne rozterki, pytania o tożsamość i cel życia.

Hasło Voo Voo kojarzy się z liderem, gitarzystą, kompozytorem, aranżerem, tekściarzem, a zarazem solistą — Wojciechem Waglewskim. To on wymyślił od początku do końca każdy dźwięk, nadał zaskakującą harmonię i dopisał teksty będące wyrazem ogólniejszej świadomości. Jego „Fazy” i „Wizyty” mogły przydarzyć się każdemu z nas. Są wspaniale śpiącojące.

# V O O V O O



Jako szesnastolatek zaszkokował Waglewski grać na gitarze starych wyjadaczy rockowych i bluesowych. Nikt nie spodziewał się po „małolacie” z Nowego Sącza takiej techniki i sposobu konstruowania dźwięków. Nic więc dziwnego, że szybko znalazł zatrudnienie w renomowanych kapelach. Grał z wieloma, m. in. z Bena-Oem, Komani Bandem i Osjanem. W tej ostatniej grupie, uprawiającej muzykę antycypijną, w większości improwizowaną na koncertach, zatrzymał się Wojtek na dłużej. W Osjanie spędził pięć lat i to była prawdziwa szkoła muzycznej dyscypliny i wrażliwości na dźwięk. Wraz z Jackiem Ostaszewskim, Radosławem Nowakowskim i Milo Kurtisem grał godzinami bez nagłośnienia, a jego gra szokowała i zdumiewała słuchaczy. W tym towarzystwie odbył szereg atrakcyjnych koncertów i nagrał dwie płyty: „Księga deszczu” i „Roots”. Nie były to jedyne dokonania fonograficzne Waglewskiego. Jako sideman brał udział w realizacji 36 płyt. Zainteresowanie jego grą sprawiło, że w Utrechcie zorganizowano szkołę, w której uczy on na workshopach nowej metody posługiwania się gitarą.

Nieprzeciętne zdolności Wojtka zwróciły uwagę Zbigniewa Holbysa, który po rozwiązaniu Perfectu organizował eksperymentalną sesję „A Ching”. W trakcie pracy nad dwupłytyowym albumem Nowicki Holbys Kwartet nagrał tylko jeden album („Swinie”), orczył jako dzieło niezwykłego kunsztu czterech indywidualności. Dla Waglewskiego praca z Holbysem miała niebagatelne znaczenie. Dawny Perfectowiec skłonił Wojtkę do śpiewania i zaczęł do samodzielnego nagrania. W styczniu 1983 roku urodził się pomysł stworzenia samodzielnego zespołu pod szyldem Voo Voo. Jej skład ulegał kilkakrotnym modyfikacjom. Obecnie liderem grają w niej: Andrzej Nowicki, Milo Kurtis, Marek Czapeński i Sarantis Juvenidis. Dla składu Voo Voo jest jeszcze inny Wraz z Wojtkiem tworzą go: perkusista Andrzej Ryska, basista Jan Pospieszalski i saksofonista Mateusz Pospieszalski. Tak często zmianie muzyków nie wpłynęła na kształt proponowanych przez grupę kompozycji. Wymyślił je i doprowadził do realizacji konsekwentny lider.

Nakładem Pronitu ukazała się pierwsza duża płyta Voo Voo, określana przez recenzentów mianem fenomenalnej perełki. Zaskakuje ona zarówno swym brzmieniem wszystkich, którzy spodziewali się od znanego gitarzysty rytmicznych kawalków do tańca. Muzyka, jaką on proponuje, jest przede wszystkim nastrojowa. Atmosfera misterium narasta powoli i wciąga słuchacza bezwiednie, tak iż w pewnym momencie trudno się od tych dźwięków uwolnić. Waglewski nie śpiewa piosenek. Raczej podśpiewuje i recytuje teksty, które zapadają głęboko w pamięć. Teksty są szalenie ważne, ale liczą się nie tylko one. Przygodnego słuchacza zaskakuje muzyka — niby oszczędna, wydobywana jedynie z trzech prostych instrumentów, a przecież szalenie gęsta, pulsująca, cudowna. Słucha się jej niczym magicznej bajki i na tym polega siła Voo Voo. Spodziewam się, że w ślad za pierwszą płytą albumem pojawią się nowe fascynujące nagrania Waglewskiego i jego kolegów.

Istvan Grabowski

# ZDERZENIA

## Składka na sygnalizację?

Kiedy w lipcu 1983 roku na ulicy Lublina wyjechały pierwsze trolejbusy odjeżdżające samochodowy tabor MPK, mieszkańcy Czechowa zwrócili się z prośbą do przedsiębiorstwa o przydzielenie przynajmniej jednego autobusu dla swojej dzielnicy, deklarując to podaniem — cytując za ówczesnym „Standardem Ludu” — „że będą nieogrzewani, ba, wprost idealnymi pasażerami i dadzą przykład mieszkańcom innych dzielnic, jak należy szanować sprzęt pracowników MPK”.

Trzydziestu trzy lata później mieszkańcy innej już dzielnicy naszego miasta, i z innego powodu, okazują się również być skłonni do złożenia MPK i Wydziałowi Komunikacji konkretnej (bo słotukowej) deklaracji. Chodzi tu o przejście dla pieszych na ulicy Lipowej, wyznaczone na wysokości Szkoły Podstawowej nr 8. Zdemntem użytkowników — głównie rodziców, uczulono i namierzono — przejście to, pomimo wodzącego oznakowania, nadal jest niebezpieczne. Kierowcy zdają się nie zauważać znaków i podążać ślepo. Były już sreżne w skutkach wypadki.

Redakcja przechodzących tym przejściem dzieci skłoniła się więc zebrać społeczne zdanie na temat tego przejścia i sygnalizacji.

## Silentium - pojęcie nie znane

Korzysta na jednym z oddziałów Państwowego Szpitala Klinicznego nr 4 w Lublinie. Poobiednie sora odpoczniku chę-

rych. Ktoś z odwiedzających stara się stać jak najciszej, a potem dyskretnie wieść rozmowę z wywołaną chorą. Cicho.

Wiem z trzaskiem otwierają się drzwi i imiechem i halabala wymiana zdań wpada na korytarz grupka studentek w białych fartuchach. Przyszła panie doktorce idą całą „Jawą”, jak po Krakowskim Przedmieściu, głośno i z przytupem.

Co to jest embolia arteriarum extremitatum — wykują na pamięć do zaliczenia egzaminu, silentium zaś pozostaje dla nich pojęciem nie znanym, jeszcze, widać, nie „przerobianym” na tym roku. Podobnie, jak twardość, kultura i obyczaj przyszłego lekarza.

— Co to jest embolia arteriarum extremitatum — wykują na pamięć do zaliczenia egzaminu, silentium zaś pozostaje dla nich pojęciem nie znanym, jeszcze, widać, nie „przerobianym” na tym roku. Podobnie, jak twardość, kultura i obyczaj przyszłego lekarza.

## Dwójka z towaroznawstwa

— Czy jest bryndza, — zyla klientka.

— Bryndza — wspaniała się panienka z niebieskiego sklepu. — Niech pani zobaczy tam, w żółtych serach — poleca.

— W gablotce z adamskim i gondą bryndzy nie ma — konstatuje amatorka owozobrowego nabiału. — Może tutaj, gdzie framęga i chudy twaróg? — nie rezygnuje

— Nie, tutaj w żadnym wypadku, tylko w żółtych serach — odpowiada panienka tonem nieznającym sprzeciwu.

— Kiedy i tutaj nie ma — po raz kolejny klientka przegląda zawartość gablotki.

— No, to nie wiem, gdzie jest. Ale, proszę pani — zniżę głos ekspedientka — co to jest to ogóle, te bryndze?..

(dey)

## Pocztówka literacka

Tadeusz B. Białowieża Spojnił się Pan ze swoim piarstwem o wieki (gdymy powie-dział, że tylko o epokę, nie oddawałoby to prawdziwego stanu rzeczy).

Jan P. Lublin. Opowieść pt. „A ty śmiejesz się albo płacz” do druku jeszcze się nie nadał. Tekst ma kilka interesujących spłotów, losowych głównego bohatera, wymaga jednak dalszej pracy. Po lekturze mam sprężne odczucia. Z jednej strony dla wytrawnego prozaika treść byłaby wystar-

czająca na fabularną powieść, a w Pana wykonaniu zaproponowany tekst wydaje się rozgadany.

Myślę, że o tym wszystkim porozmawiamy szerzej, gdy w którymś z najbliższych wtorków odwiedzi Pan redakcję.

Piotr W. Lublin. W wierszach nie mogłem znaleźć, choćby małych wartości. Natomiast zebrane aforyzmy, ludowe przysłowia itp. jak mi się wydaje, nie są Pańska własność, nie mogą więc być rozważane jako propozycje druku. Zadał sobie Pan sporo trudów, dla naszych celów jednak nieprzydatnego.

TJ

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (reżyser naczelny), Piotr Kopciowski (zastępca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Zdzisław Kosiński (redaktor naczelny) oraz Maria Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (jako równik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), L. Wójcik. Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban. Redakcja nie zwiera materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich służy biuro interesantów kierownik ds. biura w wtorki w godz. 14-18. Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Gulecka 4. Wydawca: Robotnicze Spółdzielnie Wydawnicze z RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jazna 6, tel. 353-39. Adres redakcji: 20-059 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1. Adres redakcji: 20-059 Lublin, skrytka pocztowa 22, połączone i ekspresowe — pod adresem redakcji. Adres redakcji: 20-059 Lublin, skrytka pocztowa 22, połączone i ekspresowe — pod adresem redakcji. Adres redakcji: 20-059 Lublin, skrytka pocztowa 22, połączone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 2183, 11.11.1982 r. N-2.

# Lustro na murze

Henryk Więclawski

JEDEN ze znajomych przekonywał mnie niedawno, że Stańczyk, twierdząc, iż największej lekarzy zamieszkuje nasz kraj, nie miał racji. „W najlepszym wypadku — twierdził — była to tylko prawda tamtych czasów. Już dawno należałoby mówić tu o pisarzach i dziennikarzach i rozszerzyć rzecz całą na świat”. Kiedy przytaknąłem mu bardziej z grzeczności niż przekonania, zaśkoczył mnie zaraz nagłym pytaniem: „Czy ty czytasz graffiti?”. Ożywiłem się. Z zakamarków pamięci usiłowałem teraz pospiesznie wygrzebać właściwe znaczenie tego terminu. Sztuka? Ozdoby na tynku? Ach, tak. Również napisy na murze, w ustronnych miejscach, na ścianach, nawet na ulicy. Nie tylko te od wielkiego dzwonu, nie żadne „No passaran”, nie polityka, nie wielkie zmagania. Ale et, takie sobie: „Byłem tu” albo „Wisła pany”.



Rys. Zygmunt Pytlík

Czyż nie jest to wyraz naturalnego pragnienia człowieka do wypowiedzania się publicznie? — kontynuował mój znajomy. — Czyż to nie są pierwotne formy gazet? Pomyśl: »Mene, Tekel, Fares« — informacja, jakże ważna, teraz powiedzielibyśmy — polityczna; albo »Mieszkam na Wilczej 16« i podobne, wyskrobane na nadpalonym warszawskim murze. Przecież to dzisiejsze ogłoszenie. Tak, tak — podziwiał głową — w tym coś jest”.

Od tej pory zacząłem bacznie przypatrywać się posławym literom wymazanym z różną starannością, w rozlicznych miejscach dostępnych szerokiej ogółowi. Odrzucałem a priori pochodne geopoetyki, te, tu i ówdzie odtwarzane jeszcze znaczki, w wybuchy zgorzkniałej namiętności. Eliminowałem także na ogół wulgaryzmy, chociaż to przecież awalek życia; jakżeś seksualne przyzduśnienia, rozbrabiania, podświadome ciągoty. Pochłonęło mnie graffiti klasyczne, graffiti czyste, graffiti wyrażające odruch jakiegoś nagłego ludzkiego stanu, jakiejś ulotnej sympatii, jakiejś małej człowieczej dumy — okrucich ludzkiej skłonności do opowiadania światu. Kiedy tak zacząłem się rozglądać, zdumiało mnie, jak wiele może się mieścić w takiej marginalnej ocpuinicie.

Choćby takie: „Kocham Elkę”; czy to nie przejaw impulsu do podzielenia się szczęściem? Czy to nie nieodmociana nieśmiałość, niemożność wyznań bezpośrednich, obawa przed wyśmianiem, przed możliwością zlekceważenia, przed nieprzewidywalnym gestem? Czy to nie odpowiednik dorosłego te-

legramu z powtarzającym się w kółko zwrotem który, przekazując dalej, telefonistki się uśmiechają? A może jest w tym przekora, zwykły żart, powielenie? A może to tylko wyzwanie dla takiego frajera jak ja, który się nad tym zaduma?

A na drugim biegunie: „Monika jest k...” (w pełnym brzmieniu). Ile w tym buntu, pogardy, oskarżenia i chyba... uczucia. Może zazdrość o tego drugiego? Taki mały dramat zapisany na schodowej klatce, w wielkim bloku, gdzie nikt nikogo nie zna. A może to powielany, krzywdzący stereotyp, który sięga korzeniami aż rodziny, aż sytuacji w domu, aż jakiejś zaprzeszłej przeszłości? A może to prawda?

„Motor King” — napis dwujęzyczny, wypatrzony na odległym, światowym stadionie, drobny symbol pogoni za prawdziwie wielkim sportem. Mnóżą się te napisy, gdy klubowi się wiezie, zanikają, gdy przegrywa. To miniaturowy efekt wielogodzinnych sporów, nie kończących się utarczek o futbol. A może jest w tym i szczypta snobizmu? Ten — „King”. Może chęć przebrania Łatki w liverpoolski dres? A może zwykle przepisanie kawałka warszawskiego czy krakowskiego muru, gdzie moda dociera szybciej? Zależy, jak wielki jest dla kogoś świat.

„Byłem tu. Janek z Parczewa”. Zdumiała mnie subtelność w doborze miejsc na tego typu wyznaczniki. Nie pamiętam go w kryptach z prochami wielkich, w narodowych sanktuariach, na pomnikach martyrologii. Ale wszystkie pałacyki, dworki, sławne parki, te altany miłości, a nawet zatłoczone podziemne przejścia miast... Ile w takim napisie prawdy o przemijaniu, ekshibicjonizmu, pragnienia, by dostrzegł nas świat, chęci przytrzymania, utrwalenia chwili. A może to zadatek na przyszły powrót, na dopadnięcie kiedyś jakichś wspomnień, jakiejś szczególniej atmosfery, ułamka przeżywania. Jest w tym chyba i duma z oglądania sławnego świata i pogarda dla ciasnych, malomiasteczkowych wieczorów, kiedy to godzinami wystaje się na rogach ulic.

A wyskrobany w budce numer telefonu: „77-17-88, Mariola”. Nić porozumienia między wyłącznie dwójgim ludźmi; informacja własna, tylko do osobistej wiadomości, wydatka z powodów numerów ogólnodostępnych, wszechpotrzebnych — mini telefoniczna książka. Może kryją się za tym długie rozmowy, wciąż z tego samego miejsca i o tej samej porze, może tkwi w tym wieczorne rozpamiętywanie głosu, jego załamania, drżenia i wibracji? A może to tylko zwykłe kłopoty z pamięcią?

A „Świat jest głupi” — filozofia? „Nienawidzę panków” — bójka? „Szkota to nuda” — mądrość? „Nie chcę religii” — protest? „Wituch zginie” — lubelska vendetta? „Siwy debil” — nienawiść? „Wszystko chromość” — spojrzenie egzystencjalne?

O Majakowskim slyszalem, że zapisywał wiersze na kawiarnianych serwetkach. (Nie on jeden.) Czy nie kierował nim ten sam spontaniczny impuls do wypowiedzenia siebie; nakaz, by ujawnić coś, co w żadnym razie nie może pozostać ukryte? Czy to nie takie imperatywy sprowadziły na człowieka chęć posiadania gazet, czy to nie one otwały „Mercury” i „London Gazette”?

„To jest takie lustro na murze — powiedział mój przyjaciel. — Odbijają się w nim rzeczy drobne, zbyt słabe i zbyt osobiste, by ujrzały druk. Ale to naprawdę zaczn”.

Mijając teraz szpecący otoczenie skrawek czyjeś wyznania, wciąż nie mogę odgonić myśli, że w takiej marginalnej ocpuinicie może zmieścić się tak wiele. To nie obsesja. Może to melancholia, a może zwykły przerosł wyobraźni. Nie mam jednak wątpliwości, że „coś w tym jest”, jak twierdzi mój znajomy. Więc czasami sobie myślę, kto z dorosłych piszących umie wyrazić tak wiele, używając tak niewiele słów. Nie mogę także powstrzymać się od przewrotnego śmiechu.

— Jakże uczucia wzbudzam w panu, drogi mistrzu? — spytała.  
— O pan! — odrzekł Stankiewicz. — Jedno z najważniejszych uczuć: — wstręt do grzechu!

Bernard Shaw gościł kiedyś incognito w skromnym paryskim hotelu. Wieczorem dzwoni do pokojówki i pyta:

— Czy mogłaby mi pani przygotować ciepłą kąpiel?  
— Nie mamy dziś ciepłej wody.  
— To proszę przygotować zimną kąpiel.  
— Ależ milordzie, jest listopad i może się pan przeziębzić!  
— Więc — odpowiada spokojnie Shaw — proszę przygotować zimną kąpiel i zamówić pogrzeb pierwszej klasy.

Znany komik, Władysław Walter, lubił dobre i obfite fakty. Pewnego razu udał się do lekarza i oświadczył:  
— Panie doktorze, czuję w żołądku pieczenie.  
— Jakże pieczenie? — spytał lekarz.  
— Imię, które dziś jadłem: wleprzową i cielęcą.

Artur Zysman, piszący pod pseudonimem Bruno Jankowski, stał się celem ataków prasy endeckiej od chwili ujawnienia lewicowych poglądów. Po ukazaniu się kolejnej jadowitej recenzji w „Kurierze Luwowskim” Jankowski, będący także znakomitym satyrykiem, przestał być autorem i stał się przedmiotem. „Wielce szanowny Księciu Siedzą właśnie w pewnym ustronnym miejscu i sam przed sobą pańską recenzję. Za chwilę będą ją wiać za sobą”.

Zapalony mówca, wygłaszając prelekcję na jednym z warszawskich zebrań literackich, wpadł raz w euforię i krzyknął:  
— Niech żyje uczciwość!  
— Ale z czego? — zapytał znajdujący się na sali Boy-Zetowski.

W pewnym czasie przedstawił Henrykowi Stankiewiczowi młodą aktorkę, która zaczęła się zalecać do znajomości pisarza.

1	2	3	4	5	6	7
15	16	17	18	19	20	21
31	32	33	34	35	36	37
45	46	47	48	49	50	51
58	59	60	61	62	63	64
71	72	73	74	75	76	77
85	86	87	88	89	90	91
98	99	100	101	102	103	104
112	113	114	115	116	117	118
127	128	129	130	131	132	133
141	142	143	144	145	146	147
156	157	158	159	160	161	162

## Krzyżówka nr 24 szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment felietonu, którego autora i tytuł pisma drukującego go utworzą pierwsze litery 21 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie oznaczają przerwy między słowami.

Wyrazy pomocnicze

1. jednostka lotnictwa bojowego — 6. 66. 38. 31. 49. 72. 55. 75.
2. wyspy między Atlantykiem i M. Karaibskim — 13. 40. 95. 19. 52. 34.
3. dziś nazywa się naturystą — 30. 32. 99. 126. 80. 54. 168.
4. projektodawcy — 23. 159. 24. 33. 141. 109. 115. 3. 78. 1. 96.
5. sprawdzenie wiadomości — 22. 62. 18. 164. 25. 147. 110.
6. czeska wieś — muzeum martyrologii — 27. 36. 140. 73. 20. 94.
7. sposoby polowiczne — 2. 37. 117. 8. 163. 122. 74. 61. 10.
8. jedno ze wzgórz Rzymu — 15. 144. 51. 82. 105. 64. 100.
9. narzędzie do robienia otworów w skórze — 39. 34. 149. 63. 89. 5.
10. słodkowodny drapieжник — 119. 134. 17. 71. 16. 132. 157. 108.
11. powolny rozwój — 48. 4. 68. 103. 41. 50. 59. 92.
12. wytwarzane w puławskich „Azotach” — 35. 70. 85. 155. 93. 86.
13. duża siła, cdporność — 12. 153. 161. 118. 88. 14. 60.
14. kulak — 77. 107. 11. 150. 169.
15. odległość — 29. 136. 133. 154. 46. 162.
16. środek nasenny — 23. 7. 121. 111. 106. 116. 146.
17. znana ze zwycięstwa w Powstaniu Listopadowym wieś w woj. siedleckim — 26. 91. 142. 127. 101. 131.
18. jedynka i sześć zer — 56. 81. 44. 76. 43. 165.
19. automatyczny zamek — 31. 114. 130. 112.
20. talia, stan kobiety — 53. 45. 47. 160. 158.
21. dawna nazwa holocenu — 57. 113. 53. 9. 83. 102. 143.
22. eksport — 151. 90. 98. 139. 67.
23. pęta, kajdany — 166. 143. 145. 138. 135.
24. nocny ptak — 87. 124. 167. 97.
25. słynne pisał Kryłow i Krasicki — 65. 120. 42. 69. 152.
26. dzielnica Warszawy — 156. 137. 123. 128.
27. dziewiąta litera greckiego alfabetu — 129. 104. 125. 79.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 22 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Głos miałem jak dzwon, śpiewałem basem w kościelnym chórze, to aż nie raz ksiądz mnie prosił, ciszej, synu, ciszej kościółek nasz nieduży, chcesz, żeby Pan Bóg ogłuchł, śpiewasz mu przeciw do samego ucha.

Wiesław Myśliwski

KAMIEN NA KAMIENIU

Nagrodę wylosował Andrzej Szymański, ul. Cielużowa 6 m. 19, 07-412 Ostrołęka.

Wyszperal: Ryszard Dunin